

HONORÉ DE BALZAC

---

# Bank Nucingena

HONORÉ BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

# Bank Nucingena

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

*Pani Zulmie Carraud.*

*Czyż nie Tobie, Pani, której niepospolita i rzetelna inteligencja jest prawdziwym skarbem dla Twoich przyjaciół, Tobie, która jesteś dla mnie zarazem całą publicznością i najpobliższą siostrą, winienym był poświęcić to dzieło? Racz je przyjąć jako dowód przyjaźni, z której jestem dumny. Ty i kilka dusz, pięknych jak twoja, zrozumieją moją myśl, czytając Bank Nucingena złączony z Cesarem Birotteau. W tym kontraście, czyż nie mieści się cała nauka społeczna?*

*De Balzac.*

Wiadomo, jak cienkie są przepierzenia, rozdzielające separatki w najwykwintniejszych restauracjach paryskich. U Very'ego na przykład największy salon podzielony jest na pół przepierzeniem, które wyjmuje się i wstawia do woli. Scena niniejsza nie rozgrywała się tam, ale w przyzwoitym miejscu, którego nie wypada mi nazwać. Było nas dwoje, powiem tedy, jak pan Prud'homme u Henryka Monnier: „Nie chciałbym jej skompromitować”. Delektowaliśmy się obiadem rozkosznym pod każdym względem, w saloniku, gdzie, zauważwszy cienkość ścianki, rozmawialiśmy po cichu. Doczekaliśmy pieczystego, nie mając sąsiadów w przyległej sali, gdzie słyszeliśmy jedynie trzaskanie ognia. Ósma wybiła, rozległo się wielkie szuranie nóg, gwar rozmowy, służba wniosła świece. Odgadliśmy, że przyległy salon jest zajęty. Poznałem po głosach, kim byli nasi sąsiedzi.

Były to cztery najzuchwalsze kormorany wylęgle w pianie, jaka pływa po wciąż odnawiających się nurtach obecnego pokolenia; miłe chłoptasie, których egzystencja jest dość zagadkowa, których posiadłości ani dochodów nikt nie zna, a którzy mimo to żyją sobie dobrze. Ci sprytni *kondotierzy*<sup>1</sup> nowoczesnego przemysłu, który się stał najokrutniejszą z wojen, zostawiają troski swoim wierzycielom, zachowują przyjemności dla siebie, dbają jedynie o kostium. Zresztą zuchy zdolne, jak Jan Bart, palić cygaro na baryłce prochu, może dlatego, aby nie wypaść z roli; kpiarze jadowitsi od brukowego dzienniczka, kpiarze zdolni kpić z samych siebie; przenikliwi i nieufni, wężący za interesami, chciwi i rozrzutni, zawistni o drugich, ale zadowoleni z samych siebie; głębcy politycy, kiedy zechcą, analizujący wszystko, odgadujący wszystko, nie zdołali jeszcze wypłynąć w świecie, w którym chcieli błyszczeć. Jeden tylko z nich czterech *doszedł*, ale tylko do stóp drabiny. To jeszcze jest nic mieć pieniądze; dopiero po sześciu miesiącach pochlebstw parweniusz wie, czego mu braknie wówczas. Małomówny, zimny, sztywny, parweniusz: ten nazwiskiem Finot, miał tę wytrwałość, aby się płaszczyc przed ludźmi, którzy mogli mu być potrzebni, a ten spryt, aby być hardym wobec tych, których już nie potrzebował. Podobny do jednej z komicznych figur w balecie *Gustaw* jest margrabią z tyłu, a chamem z przodu.

Ten książę przemysłu trzyma sobie zausznika Emila Blondet: dziennikarza, człowieka wielkiej inteligencji, ale bez charakteru, świetnego, zdolnego, leniwego, świadomego,

Interes, Pozycja społeczna

<sup>1</sup>*kondotier* (z wł.) — najemny żołnierz. [przypis edytorski]

że go wyzyskują, machającego na to ręką, fałszywego lub poczciwego wedle kaprysu; jednego z tych ludzi, których się lubi, ale nie szanuje. Sprytny jak teatralna subretka<sup>2</sup>, niezdolny odmówić swego pióra temu, kto o nie poprosi, ani serca temu, kto je wypożyczy, Emil jest uroczym typem owych mężczyzn-dziewek, o których najkapryśniejszy z naszych humorystów powiedział: „Wolę ten typ w atlasowych trzewiczkach niż w butach”.

Trzeci, nazwiskiem Couture, utrzymuje się ze spekulacji. Chwyta się interesu po interesie; powodzenie jednego pokrywa niepowodzenie innych. Toteż pływa po wodzie, podtrzymywany swą nerwową energią, zimnym i śmiałym rozmachem. Żegluję to tu, to tam, szukając w olbrzymim morzu paryskich interesów jakiejś dość wątpliwej wysepki, na której by mógł osiąść. Rzecz jasna, że nie jest na swoim miejscu.

Co do czwartego, najsprytniejszego z czterech, nazwisko jego wystarczy: Bixiou! Niestety! To już nie jest Bixiou z 1825 roku, ale z 1836, pół mizantrop<sup>3</sup>, pół błazen sławny z werwy i złośliwości, wściekły, iż strwonił na darmo tyle talentu, wściekły, że nie wyłowił nic w ostatniej rewolucji, rozdający każdemu kopnięciem nogą jak istny Pierrot z *Funambules*, znający swoją epokę i jej skandaliki na palcach, strojący je uciesznymi ornamentami, skaczący na wszystkie barki jak klaun i rad zostawić na nich piętno na sposób kata.

Zaspokoiwszy pierwsze żądania łakomstwa, sąsiedzi nasi doszli do punktu, w którym znajdowaliśmy się my, do deseru, i dzięki naszemu cichemu zachowaniu, sądzili, że są sami. W dymie cygar, przy udziale szampana, wśród gastronomicznych uciech deseru, zawiązała się tedy poufna gawęda. Nacechowana owym chłodem, który ścina najbardziej elastyczne uczucia, hamuje najszlachetniejsze porywy i daje śmiechowi coś ostrego, rozmowa ta, pełna cierpkiej ironii zmieniającej wesołość w uraganie, świadczyła o wyczerpaniu dusz żyjących wyłącznie sobą, bez innego celu prócz zadowoleń egoizmu będącego owocem pokoju, w którym żyjemy. Ów pamflet na człowieka, którego Diderot nie odważył się wydać drukiem, *Kuzynek mistrza Rameau*, owa książka umyślnie rozchlastana, aby odsłonić rany, jest jedyną, którą dałoby się porównać z tym pamfletem ogłoszonym bez żadnych osłonek, gdzie słowo nie szanowało nawet tego, co myśliciel waży jeszcze, gdzie budowano jedynie z gruzów, gdzie zdeptano wszystko, korząc się wyłącznie przed tym, co uznaje sceptycyzm, wszechmoc, wszechwiedzę, wszechkonwenans pieniądza. Ostrzeżawszy krąg znajomych, obmowa zaczęła brać na cel serdecznych przyjaciół. Jeden znak dostatecznie wytłumaczy moją ochotę, aby zostać i słuchać w chwili, gdy, jak się to pokaże, Bixiou zaczął mówić. Usłyszeliśmy wówczas jedną z owych piekielnych improwizacji, które zyskały temu artyście reputację u pewnych zużytych dusz, a monolog ten, mimo że często przerywany, poniechany i rozpoczynany na nowo, utrwalił się w stenogramie mej pamięci. Poglądy i ich forma, wszystko tu jest poza ramą literatury. Ale bo też to było istne *potpourri*<sup>4</sup> rzeczy posępnych malujące naszą epokę, której powinno by się opowiadać jedynie podobne historie. Zresztą odpowiedzialność zostawiam głównemu narratorowi. Mimika, gesty, w połączeniu z częstymi zmianami głosu, jakimi Bixiou malował swoje figury, musiały być doskonałe, bo trzej słuchacze wydawali bezwiednie krzyki uznania oraz pomruki radości.

— I Rastignac odmówił ci? — spytał Blondet Finota.

— Kategorycznie.

— Aleś ty mu zagroził dziennikiem? — spytał Bixiou.

— Zaczął się śmiać — odparł Finot.

— Rastignac jest w prostej linii spadkobiercą nieboszczyka de Marsaya, zrobi karierę w polityce, jak zrobił ją w życiu — rzekł Blondet.

— Ale jak on zrobił majątek? — spytał Couture. — W roku 1819 mieszkał ze sławnym Bianchonem w nędznym pensjonacie w dzielnicy łacińskiej; rodzina jego jadła pieczone chrabąszcze i piła wodę, aby mu móc posyłać sto franków miesięcznie; folwarczek jego ojca nie był wart ani tysiąca talarów; miał dwie siostry i brata na karku, a dziś...

<sup>2</sup>subretka (z fr.) — pokojówka, służąca. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>mizantrop — osoba czująca niechęć do ludzi, unikająca towarzystwa innych. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>potpourri (fr.) — dosł. bigos; całość złożona z różnorodnych elementów (np. wiązanka utworów muzycznych). [przypis edytorski]

— Dziś ma czterdzieści tysięcy franków renty<sup>5</sup> — odparł Finot. — Obie siostry wyposażył hojnie i wydał świetnie za mąż, matce zaś zostawił dożywocie...

— W roku 1827 — rzekł Blondet — widywałem go jeszcze bez grosza.

— Och! W 1827 — rzekł Bixiou.

— No i dziś — podjął Finot — widzimy go na drodze do zostania ministrem, parem Francji, wszystkim czym zechce! Od trzech lat skończył przyzwoicie z Delfiną, ożeni się jedynie na upatrzonogo, a on może dostać pannę z najlepszej rodziny, ba! Ten chłopak miał dobry węch, aby się zakochać w kobiecie bogatej.

— Moi drodzy, uwzględnijcie łagodzące okoliczności — rzekł Blondet — chłopiec dostał się w łapy sprytnego człowieka, ledwie wyszedłszy ze szponów nędzy.

— Ty znasz dobrze Nucingena — rzekł Bixiou. — Otóż w pierwszych czasach Delfina i Rastignac mieli go za pocziwca; zdawało się, że żona to dla niego w domu zabawka, ozdóbka. I oto co go dla mnie czyni człowiekiem z jednej sztuki: Nucingen nie kryje się z tym i powiada głośno, że żona jest dla niego szyldem jego majątku, *rzeczą* nieodzowną, ale drugorzędną w gorączkowym życiu polityka i finansisty. Powiedział przy mnie, że Bonaparte był głupi jak przeciętny łyk w stosunku do Józefiny i że, skoro miał odwagę użyć jej jako stopnia, śmieszny był, czyniąc z niej towarzyszkę życia.

— Każdy rozumny człowiek musi mieć co do kobiet opinię Wschodu — rzekł Blondet.

— Nasz baron stopił teorie Wschodu i Zachodu w rozkoszną teorię paryską. Nie znosił de Marsaya, który był zbyt niepodatny; ale Rastignac spodobał mu się bardzo; wyzyskiwał go bez jego wiedzy; zostawił mu wszystkie ciężary swego małżeństwa. Rastignac znosił wszystkie kaprysy Delfiny, woził ją do Lasku, prowadził do teatru. Ten dzisiejszy wielki mały polityk długo trawił życie na wymienianiu czułych bilecików. W początkach Eugeniusz znosił sceny o byle co, weselił się z Delfiną, gdy była wesoła, smucił się, gdy była smutna, dźwigał brzemień jej migren, jej zwierzeń, oddawał jej wszystek swój czas, wszystkie godziny, swoją szacowną młodość, aby zapełnić pustkę rozpróżnianej paryżanki. Odbывał z Delfiną wielkie narady nad tualetą, w której jej będzie najlepiej do twarzy; znosił jej gniewy i dąsy, podczas gdy dla kontrastu była przemiła dla barona. Baron śmiał się w duszy, kiedy zaś widział, że Rastignac ugina się pod ciężarem, *dawał do poznania, że domyśla się czegoś* i łączył kochanków wspólnym strachem.

— Rozumiem, że przy kobiecie bogatej Rastignac mógł wyżyć i to przyzwoicie wyżyć; ale skąd on wziął majątek? — spytał Couture. — Majątek, równie znaczny jak on ma dzisiaj, trzeba skądś wziąć, a nikt nigdy nie posądził go o wynalezienie jakiegoś dobrego interesu.

— Odziedziczył — rzekł Finot.

— Po kim? — spytał Blondet.

— Po dudkach na których trafił — odrzekł Couture.

— Nie wszystko zabrał, moje gołąbki — rzekł Bixiou. — Zostanie jeszcze. Opowiem wam początki jego fortuny. Przede wszystkim, pokłon talentom! Nasz przyjaciel to nie jest łobuz, jak powiada Finot, ale gentleman, który umie grać, który zna karty i którego galeria szanuje. Rastignac ma całą inteligencję, którą trzeba mieć w danej chwili, tak jak żołnierz, który lokuje swoje męstwo jedynie na dziewięćdziesiąt dni, trzy podpisy i gwarancje. Może się wydawać postrzelony, narwany, niekonsekwentny, zmienny, bez zdania; ale niech się nastęrczy poważny interes, jakaś szczęśliwa kombinacja, on nie będzie się rozpraszał jak nasz tu obecny Blondet, który wówczas będzie dyskutował szanse sąsiada. Rastignac skupia się, bierze się w garść, bada punkt, w który trzeba uderzyć i szarżuje całą siłą. Z impetem Murata rozwała czworoboki, akcjonariuszów, członków-założycieli i cały kram; kiedy wyrąbał dziurę, wraca do swego miękkiego i leniwego życia, staje się znów Południowcem, rozkosznikiem, gadułą, próżniakiem, który może wstawać w południe, bo nie zasnął w stanowczej chwili.

— Bardzo pięknie, ale przejdź do jego majątku — rzekł Finot,

— Bixiou robi literaturę — odparł Blondet. — Prawdziwy majątek Rastignaka to Delfina de Nucingen, niepospolita kobieta, która łączy odwagę z przewidywaniem.

— Czy ci pożyczyla pieniędzy? — spytał Bixiou.

<sup>5</sup>renta — tu: procent od sum ulokowanych w banku, na giełdzie itp.; por. *rentier*. [przypis edytorski]

Rozległ się chóralny śmiech.

— Przecieniasz ją — rzekł Couture — jej inteligencja polega na tym, że paraduje dowcipkiem, że kocha Rastignaka z kompromitującą wiernością, słucha go ślepo, słowem, kobieta w stylu włoskim.

— Plus pieniądze — rzekł cierpko Finot.

— No, no — podjął Bixiou słodziutkim głosem — po tym, cośmy powiedzieli, czy ośmielicie się jeszcze brać za złe biednemu Rastignakowi, że żył na koszt firmy Nucingen, że go wzięto na utrzymanie dokładnie tak, jak niegdyś wziął *Dretwę* nasz przyjaciel des Lupeaulx? To by był szczyt mieszczańskich przesądów. Zresztą, mówiąc abstrakcyjnie, jak powiada Royer-Collard, kwestia może wytrzymać *krytykę czystego rozumu*, co zaś do nieczystego...

— Już jedzie! — rzekł do Blondeta Finot.

— Ależ — wykrzyknął Blondet — on ma słuszność. Kwestia jest bardzo stara; ona to była sekretem słynnego śmiertelnego pojedynku między szlachetnymi panami Châteigneraie i Jarnac. Obwiniano Jarnaca, że żyje w czułych stosunkach z teściową, która finansuje dostatek zbyt ukochanego zięcia. Kiedy jakiś fakt jest tak prawdziwy, nie powinno się o nim mówić. Przez poświęcenie dla króla Henryka II, który pozwolił sobie na tę ploteczkę, la Châteigneraie wziął ją na swój rachunek, stąd ten pojedynek, który wzbogacił język francuski wyrażeniem: *cios Jarnaca*.

— Ba! wyrażenie sięga tak głębokiej starożytności, jest zatem szlachetne — rzekł Finot.

— Miałaś prawo nie wiedzieć o tym, jako ex-właściciel dzienników i przeglądów — rzekł Blondet.

— Istnieją kobiety — ciągnął poważnie Bixiou — istnieją też mężczyźni, którzy umieją podzielić swą egzystencję i oddać tylko jej cząstkę (zważcie, że ja redaguję moją myśl w duchu formuły humanitarnej). Dla tych osób wszelki interes materialny mieści się poza uczuciami; oddają kobiecie swoje życie, swój czas, swój honor i uważają, że nie wypadaloby trwonić między sobą jedwabnego papieru, na którym wypisane jest: *Podrabiający ten papier będzie karany śmiercią*. Nawzajem, ludzie ci nie przyjmą nic od kobiety. Tak, wszystko staje się hańbiące, gdy istnieje stopienie interesów, jak istnieje stopienie dusz. Te zasady się wygłasza, ale stosuje się je rzadko...

— Och! — rzekł Blondet — cóż za dzieciństwo! Marszałek de Richelieu, który znał się na galanterii, dał tysiąc ludwików pensji pani de La Popelinière po przygodzie z płytą w kominku. Agnieszka Sorel ofiarowała zupełnie po prostu królowi swój majątek i król go przyjął. Jakub Coeur utrzymywał koronę francuską, która pozwoliła na to i okazała się niewdzięczną jak kobieta.

— Panowie — rzekł Bixiou — miłość, która nie mieści w sobie nierozzerwalnej przyjaźni, wydaje mi się chwilową rozpustą. Cóż znaczy zupełne oddanie, jeżeli się coś wyłącza? Między tymi dwiema teoriami równie sprzecznymi i równie niemoralnymi, jedna jak i druga, nie ma możliwego pojednania. Wedle mnie, ludzie, którzy obawiają się absolutnego związku, sądzą niewątpliwie, że kiedyś się on skończy, a wówczas diabli wzięli złudzenie! Namiętność, która nie wierzy w to, że jest wieczna, jest wstrętą. (Uważacie: Fenelon najczystszej wody!) Toteż ludzie którzy znają świat, bywalcy, ludzie dystyngowani, ludzie w pięknych rękawiczkach i krawatach, którzy nie wstydzą się zaślubić kobiety dla majątku, głoszą konieczność zupełnego rozdziału interesów i uczuć. Drudzy to wariaci, którzy kochają, którzy myślą, że są sami na świecie ze swą kochanką! Dla tych miliony to błoto; rękawiczka, kamelia, którą nosiło ich bóstwo, warte są miliony! O ile nie złapiecie ich nigdy na trwonieniu szpetnego metalu, znajdziecie w zamian u nich szczątki kwiatów przechowane w pięknych cedrowych szkatułkach! Nie rozróżniają już jednego od drugiego. Dla nich nie istnieje już *ja*. TY, oto ich wcielone Słowo. Cóż chcecie, czy wytępicie tę sekretną chorobę serca? Są głupcy, którzy kochają bez wszelkiej rachuby, i są mędrzy, którzy rachują kochając.

— Bixiou jest wzniosły — wykrzyknął Blondet. — Cóż na to Finot?

— Wszędzie indziej — odparł Finot przybierając pozę — byłbym zdania gentlemanów; ale tutaj myślę...

— Jak bezecni hultaje, z którymi masz zaszczyt się znajdować — odparł Bixiou.

— Na honor, tak — rzekł Finot.

— A ty? — rzekł Bixiou do Couture'a.

— Dzieciństwa — wykrzyknął Couture. — Kobieta, która nie czyni ze swego ciała stopnia, aby pomóc dojść do celu ukochanemu mężczyźnie, to kobieta, która ma serce tylko dla siebie.

— A ty, Blondet?

— Ja działałam.

— Otóż — podjął jadłowicie Bixiou — Rastignac nie był waszego zdania. Brać, a nie oddać, to rzecz ohydna, a nawet nieco lekkomyślna; ale brać, aby mieć prawo naśladować monarchę, oddając stokrotnie, to czyn rycerski. Tak myślał Rastignac. Rastignac czuł się głęboko upokorzony swoją wspólnością interesów z Delfiną; mogę mówić o jego żalach, widziałem jak ze łzami w oczach białł nad swym położeniem. Tak, płakał naprawdę!... po kolacji. Otóż, waszym zdaniem...

— Et, ty sobie kpisz z nas — rzekł Finot.

— Ani trochę. Chodzi o Rastignaca, którego cierpienie byłoby wedle was dowodem jego zepsucia, znaczyło bowiem, że nie dość kochał Delfinę! Ale co chcecie? Biedny chłopak miał ten cierń w sercu. To jest szlachcic bardzo zepsuty, a my jesteśmy cnotliwi artyści. Zatem, Rastignac chciał wzbogacić Delfinę, on biedny ją bogatą! I czybyście uwierzyli?... Udało mu się. Rastignac, który byłby się bił jak Jarnac, przeszedł wówczas do opinii Henryka II, w myśl swego wielkiego słowa: „Nie ma absolutnej cnoty, są tylko okoliczności”. To się łączy z historią jego majątku.

— Powinien byś zacząć opowiadać, zamiast zastawiać pułapki naszej uczciwości — rzekł dobrodusznie Blondet.

— Ha ha! mój chłopcze — rzekł Bixiou, klepiąc go po głowie — odbijasz się przy szampańskim.

— No, na świętego Akcjonariusza — rzekł Couture — opowiadajże raz.

— Już miałem zacząć — odparł Bixiou — ale ty swoją klątwą sprowadzasz mnie do zakończenia.

— Są więc akcjonariusze w twojej historii? — spytał Finot.

— Krezusy tacy jak twoi — odparł Bixiou.

— Zdaje mi się — rzekł Finot chłodno — że powinien byś mieć niejakię względy dla przyjaciela, u którego znajdujesz w potrzebie pięćset franków....

— Garson<sup>6</sup>! — krzyknął Bixiou.

— Czego chcesz od garsona? — spytał Blondet.

— Pięćset franków, aby je oddać Finotowi, aby oswobodzić mój język i podrzec moją wdzięczność.

— Gadajże swoją historię — rzekł Finot, udając, że się śmieje.

— Jesteście świadkami — rzekł Bixiou — że nie jestem niewolnikiem tego pyszałka, który myśli, że moje milczenie warte jest tylko pięćset franków! Nie będziesz nigdy ministrem, jeżeli nie umiesz taksować sumień. A więc, dobrze — rzekł pieszczotliwie — mój pocziwy Finot, opowiem historię, nie wymieniając osób i skwitujemy się.

— Udowodni nam — rzekł Couture z uśmiechem — że to Nucingen dał majątek Rastignacowi.

— Nie tak źle trafieś, jak sądzisz — odparł Bixiou. — Wy nie wiecie, co to jest Nucingen, biorąc finansowo.

— Czy nie wiesz — rzekł Blondet — czegoś o jego początkach?

— Widywałem go tylko u niego w domu — odparł Bixiou — ale mogliśmy się niegdyś spotkać w ciemnym lesie.

— Tryumfy firmy Nucingen, to jedno z najosobliwszych zjawisk naszej epoki — podjął Blondet. — W roku 1804 Nucingen był prawie nieznanym, ówczesni bankierzy drżeli, gdyby wiedzieli, że jest w obiegu jego weksli na sto tysięcy talarów. Ten wielki finansista czuł swoją mizериę. Jak się dać poznać? Zawiesza wypłaty. Brawo! Nazwisko jego, dotąd ograniczone do Strasburga i do dzielnicy Poissoniere, brzmi na wszystkich rynkach! Słaca wierzycieli martwymi walorami i znów jest wypłacalny: natychmiast podpis jego ma obieg w całej Francji. Niesłychanym trafem walory odżywają, zyskują popyt, dają dywidendę. Nucingen staje się bardzo poszukiwany. Przychodzi rok 1815, ten zuch skupia

<sup>6</sup>garson (z fr.) — kelner. [przypis edytorski]

swoje kapitały, kupuje rentę przed bitwą pod Waterloo, zawiesza płatności w momencie przesilenia, likwiduje akcjami kopalni Worszyńskich, które skupił po dwadzieścia od sta niżej kursu po jakim je sam wypuszczał! Bierze od Grandeta sto pięćdziesiąt tysięcy butelek szampana, aby się pokryć w przewidywaniu bankructwa tego cnotliwego ojca dziesięcioletniego hrabiego d'Aubrion, i tyleż od Duberghe'a win Bordeaux. Tych trzysta tysięcy butelek, *przyjętych*, przyjętych, mój drogi, po półtora franka, daje wypić Sprzymierzonym po sześć franków w Palais-Royal, między rokiem 1817 a 1819. Akcepty firmy Nucingen i jej nazwisko stają się europejskie. Dostojny baron wyrósł na przepaści, w której inni utonęli. Dwa razy bankructwo jego dało olbrzymie zyski wierzycielom: chciał ich orznać, niemożliwe! Uchodzi za najuczciwszego człowieka pod słońcem. Po trzeciej niewypłacalności akcepty banku Nucingena zaczęły mieć obieg w Azji, w Meksyku, w Australii, u dzikich. Ouvrard był jedynym, który przejrzał tego Alzatzczyka, syna jakiegoś Żyda ochrzczonego dla kariery. „Kiedy Nucingen wypuszcza złoto, mówił, bądźcie pewni, że łowi diamenty”!

— Kompan jego du Tillet nie ustępuje mu — rzekł Finot. — Pomyślcie tylko, że du Tillet to człowiek, który, co się tyczy urodzenia, ma tylko tyle, ile jest nieodzowne, aby istnieć, i że ten chwyt, który nie miał ani szeląga w roku 1814, stał się tym, co widzicie: i, czego żaden z nas (nie mówię o tobie, Couture) nie umiał sprawić, on ma przyjaciół miast mieć wrogów. Przy tym tak dobrze umiał ukryć swoją przeszłość, że trzeba było przeszukać kanały, aby odkryć, że był subiektem u olejkarza przy ulicy Saint-Honoré, nie później niż w 1814.

— Ta! ta! ta! nie porównujcie z Nucingenem drobnego naciągacza jak du Tillet, szalka, który wygrywa dzięki swemu węchowi, który przeczyna trupy i przybywa pierwszy, aby mieć najlepszą kość. Przyjrzyjcie się zresztą tym dwóm ludziom: jeden ma drapieżną minę kota, chudy, wysoki; drugi jest kwadratowy, tłusty, ciężki jak worek, nieruchomy jak dyplomata. Nucingen ma ciężką rękę i spojrzenie rysia, które nie ożywia się nigdy, głębia jego nie jest z przodu, ale z tyłu; jest nieprzenikniony, nigdy nie widzi się jego gry, gdy spryt du Tilleta podobny jest — jak powiadał Napoleon, nie wiem o kim — do wełny przędzonej zbyt cienko, trzaska.

— Nie widzę w Nucingenie żadnej wyższości nad du Tilletem, prócz tej, iż miał ten takt, aby zrozumieć, że finansista powinien być tylko baronem, gdy du Tillet chce zostać włoskim hrabią — rzekł Blondet.

— Pozwól, Blondet, słoweczko — odparł Couture. — Po pierwsze, Nucingen ośmielił się powiedzieć, że istnieją jedynie pozory uczciwych ludzi; po wtóre, aby go dobrze znać, trzeba być samemu w interesach. Jego bank to mały departament: są tam dostawy dla rządu, wino, wełna, indygo, słowem wszystko, co nastęrcza jakikolwiek zysk. Geniusz jego obejmuje wszystko. Ten słon finansowy sprzedałby posłów rządowi, a Greków Turkom. Dla niego handel to, powiedziałby Cousin, zespół różnaitości, harmonia specjalności. W ten sposób pojęty bank staje się całą polityką, wymaga potężnej głowy i zmusza wówczas tęgiego chwata do tego, aby się postawił ponad prawa uczciwości, w których mu jest zbyt ciasno.

— Masz słuszność, mój synu — rzekł Blondet. — Ale tylko my jedni rozumiemy, że to jest wówczas wojna przeniesiona w świat pieniądza. Bankier jest zdobywcą, który poświęca masy, aby dojść do ukrytych celów; jego żołnierze to interesy prywatnych osób. Ma swoje kombinacje strategiczne, swoje zasadzki, swoich partyzantów, swoje miasta do zdobycia. Większość tych ludzi ociera się z tak bliska o politykę, że w końcu w nią wchodzi i zarzynają się tym. Necker zarznął się w ten sposób, słynny Samuel Bernard niemal zrujnował się na tym. W każdym stuleciu istnieje bankier olbrzymio bogaty, który nie zostawia ani majątku, ani spadkobiercy. Bracia Pâris, którzy przyczynili się do zwalenia Lawa, i sam Law, przy którym wszyscy kombinatorzy towarzystw akcyjnych są karłami, Bouret, Beaujon, wszyscy znikli, nie zostawiając następców. Aby móc przetrwać, bankier musi zostać szlachcicem, założyć dynastię, jak owi wierzyciele Karola piątego, Fuggerowie, mianowani książętami Babenhausen i którzy istnieją jeszcze... w Almanachu Gotajskim. Bank dąży do szlachectwa przez instynkt samozachowawczy, może bezwiednie. Jakub Coeur dał początek wielkiemu szlacheckiemu domowi Noirmoutier, wygasłemu za Ludwika XIII. Cóż za energia u tego człowieka, zrujnowanego

tym, iż osadził na tronie prawego króla! Umarł jako władca wyspy na archipelagu, gdzie zbudował wspaniałą katedrę.

— Och, jeżeli zaczniecie się bawić w wykład historii, wychodzimy z obecnej epoki, gdzie tron wyzuty jest z prawa nadawania szlachectwa i gdzie robi się baronów i hrabiów przy zamkniętych drzwiach, cóż za nędza! — rzekł Finot.

— Żałujesz *chamskiego mydelka*<sup>7</sup> — rzekł Bixiou — masz słusność. Wracam do naszej sprawy. Znacie Beaudenorda? Nie, nie, nie. Dobrze. Widzicie, jak wszystko mijają! Biedny chłopiec był perłą dandysów dziesięć lat temu. Ale wsiąkł tak gruntownie, że tak samo go nie znacie, jak Finot nie znał przed chwilą pochodzenia *ciosu Jarnaca* (mówię to przez zwrot retoryczny, a nie żeby ci dokuczać, Finot!). Bagatela, toż on był w całym Saint-Germain. Otóż ten Beaudenord to pierwszy gołąbek, którego wypuszczę na scenę. Po pierwsze nazywał się Godfryd de Beaudenord. Ani Finot, ani Blondet, ani ja nie gardzilibyśmy takim atutem. Ten chwyt nie cierpiał mąk miłości własnej, słysząc, jak wolała jego służbę przy wyjściu z balu, kiedy trzydzieści ładnych kobiet zakutanych w szale, w otoczeniu mężów i wielbicieli czeka na swoje powozy. Następnie cieszył się wszystkimi członkami, jakich Bóg użył człowiekowi; zdrow, cały, ani plamki na oku, ani fałszywego czuba, ani fałszywych łydek; nogi ani w O ani w X; kolana gładkie, stos pacierzowy prosty, talia smukła, ręka biała i zgrabna, włosy czarne, cera ani nie czerwona jak u piekarza, ani nie zbyt ciemna jak u Kalabryjczyka. Wreszcie, rzecz zasadnicza! Beaudenord nie był zbyt piękny, jak niektórzy z naszych przyjaciół, którzy wyglądają na to, że piękność to ich jedyny fach; ale nie wracajmy już do tego, powiedzieliśmy już, to haniebne! Strzelał dobrze z pistoletu, jeździł świetnie konno, bił się o głupstwo i nie zabił przeciwnika. Czy wiecie, że, aby pokazać, z czego składa się szczęście całkowite, czyste, bez chmurki w dziewiętnastym wieku w Paryżu i szczęście młodego człowieka lat dwudziestu sześciu, trzeba wejść w nieskończenie małe drobiazgi życia? Szewc znał nogę Beaudenorda i robił mu świetne obuwie, krawiec ubierał go z entuzjazmem. Godfryd nie seplenił, nie zarywał z gaskońska ani z normandzka, mówił czysto i poprawnie i doskonale wiązał krawat, jak Finot. Spowinowacony z margrabią d'Aiglemont, swoim opiekunem (był sierotą bez ojca i matki, też szansa!), mógł bywać i bywał u bankierów, nie drażniąc tym arystokratycznych salonów, na szczęście bowiem młody człowiek ma prawo rządzić się jedynie własną przyjemnością, pędzić tam, gdzie się bawia, i uciekać od ponurych kątów, gdzie kwitnie zgrzyzota. Wreszcie, był szczepiony (ty mnie rozumiesz, Blondet). Mimo tych wszystkich przewag, mógłby się czuć bardzo nieszczęśliwym. He he! szczęście ma to nieszczęście, że udaje coś absolutnego: pozór, który każe tylu dudkom pytać: „Co to jest szczęście”? Kobieta bardzo inteligentna mówiła: „Szczęście jest tam, gdzie się je kładzie”.

— Głosiła smutną prawdę — rzekł Blondet.

— I moralną — dodał Finot.

— Arcymoralną! Szczęście jak cnota, jak zło to pojęcia względne — odparł Blondet.

— Toteż la Fontaine miał nadzieję, że z biegiem czasu potępieńcy przywykną do swego położenia i będą się w końcu czuli w piekle jak ryby w wodzie.

— Kołtuny znają wszystkie dowcipy la Fontaine'a — rzekł Bixiou.

— Szczęście człowieka dwudziestosześcioletniego w Paryżu nie jest to samo, co szczęście człowieka dwudziestosześcioletniego w Blois — rzekł Blondet nie zwracając uwagi. — Ci, co na tej zasadzie piorunują na niestałość zasad, to szalbierze lub ignoranci. Nowoczesna medycyna, której najpiękniejszym tytułem chwały jest, iż od roku 1799 do 1837 przeszła z fazy przypuszczeń w fazę wiedzy pozytywnej, a to dzięki zdobyciom paryskiej szkoły analitycznej, wykazała, że w pewnym okresie człowiek odnawia się całkowicie...

— Jak ten „jasiów nożyk”, a wy myślicie, że on jest ciągle ten sam — wtrącił Bixiou. — Jest tedy dużo kratek w tym stroju Arlekina, który my nazywamy szczęściem; otóż kostium mego Godfryda był bez dziur i bez plam. Młody dwudziestosześcioletni człowiek, który byłby szczęśliwy w miłości, to znaczy kochany nie dla swej kwitnącej młodości, nie dla swego dowcipu, nie dla swojej figurki, ale nieodparcie, nawet nie dla miłości samej w sobie, ale gdyby nawet ta miłość była abstrakcją — aby się znów posłużyć terminem Royer-Collarda — taki młody człowiek mógłby nie mieć ani szeląga w sakiewce

<sup>7</sup>*chamskie mydelko* — *Savonette a vilain*, tak nazywano ironicznie w XVII wieku urzędy, które dawały plebejzom godność szlachecką. [przypis tłumacza]



wyhaftowanej przez ukochaną, mógłby wisieć z komornem u gospodarza, z rachunkiem za buty u wspomnianego już szewca, za ubranie u krawca, który w końcu, jak Francja, postradałby doń sympatię. Słowem, mógłby być biedny! Nędza psuje szczęście młodego człowieka, który nie ma naszych filozoficznych poglądów o zlanii interesów. Czyż to nie znaczy mieć jedną nogę skostniałą, jak moja w tej chwili, od sąsiedztwa drzwi, a drugą spaloną od kominka? Mam nadzieję, że mnie rozumiecie i że znalazłem echo w kieszeni twojej kamizelki, Blondet? Między nami mówiąc, dajmy pokój sercu, fatalnie wpływa na inteligencję. Jedźmy dalej! Godfryd de Beaudenord posiadał tedy szacunek swoich dostawców, bo jego dostawcy otrzymywali dość regularnie pieniądze. Kobieta bardzo inteligentna, już wspomniana, a której nie można wymienić, gdyż, dzięki swemu brakowi serca, żyje...

— Kto to taki?

— Margrabina d'Espard! Powiadała, że młody człowiek powinien mieszkać w antresoli, nie mieć w domu, nic, co by trąciło gospodarstwem, ani kucharki, ani kuchni, mieć za całą usługę starego lokaja i nie zdradzać żadnej pretensji do urządzania się. Wedle niej, wszelki inny obyczaj jest w złym smaku. Godfryd de Beaudenord, wierny temu programowi, mieszkał przy Quai Malaquais w antresoli; mimo to zmuszony był mieć pewne podobieństwo z żonkosiami, stawiając w swoim pokoju łóżko, zresztą tak wąskie, że mało w nim przebywał. Angielka, która by weszła przypadkiem do niego, nie znalazłaby tam nic *improper*. Finot znów sobie każe tłumaczyć wielkie prawo *improper* władające Anglią! Ale skoro jesteśmy związani tysiącfrankowym banknotem, objaśnię ci to. Ja byłem w Anglii! (Po cichu do Blondeta: „Sypię mu dowcipu za więcej niż dwa tysiące”). W Anglii, Finot, zawierasz bardzo ścisłą znajomość z kobietą przez jedną noc, na balu lub gdzie indziej: spotykasz ją nazajutrz na ulicy, poznajesz ją: *improper*! Znajdujesz przy obiedzie w sąsiedzie swoim po lewej ręce przemilego człowieka, dowcipnego, swobodnego, wesołego, antyangielskiego; tedy w myśl praw dawnego salonu francuskiego, tak swobodnego, tak milego, zagadujesz go: *improper*! Podchodzisz na balu do ładnej kobiety, aby z nią zatańczyć: *improper*. Rozpalasz się, dysputujesz, śmiejesz się, otwierasz serce, duszę, siejesz dowcip, inteligencję w rozmowie; dajesz upust uczuciom; grasz, kiedyś siadł do gry, rozmawiasz, kiedy rozmawiasz i jesz, kiedy jesz: *improper! improper! improper!* Jeden z najdowcipniejszych i najgłębszych ludzi naszej epoki, Stendhal, scharakteryzował bardzo dobrze *improper*, powiadając, że istnieje w Wielkiej Brytanii lord, który, będąc w pokoju sam, nie śmie przy kominku założyć nogi na nogę z obawy, by nie być *improper*. Dama angielska, choćby należała do wścieklej sekty *świętych* (dubeltowi protestanci, którzy zamorzyliby całą swoją rodzinę głodem, gdyby była *improper*), nie będzie *improper*, brojąc co wlezie w swojej sypialni, a uważałaby się za zgubioną, gdyby przyjęła znajomego w tym samym pokoju. Dzięki *improper*, znajdą kiedyś Londyn i jego mieszkańców skamieniałych.

— Kiedy się pomyśli, że są we Francji cymbały pragnący wprowadzić do nas uroczyście głupstwa, jakie Anglicy robią u siebie z ową wspaniałą zimną krwią — rzekł Blondet — ciarki przechodzą człowieka, który widział Anglię i który pamięta uroczy i pełen wdzięku obyczaj francuski. W ostatnich czasach Walter Scott, który nie śmiał malować kobiet takimi, jak są, z obawy, aby nie być *improper*, kajał się, iż stworzył piękną postać Effie w *Więzieniu Edynburskim*.

— Chcesz nie być *improper* w Anglii? — rzekł Bixiou do Finota.

— No jak? — spytał Finot.

— Idź do Tuileries zobaczyć tego marmurowego strażaka, którego rzeźbiarz nazwał Temistoklesem, i staraj się chodzić jak posąg komandora, a nie będziesz nigdy *improper*. Otóż szczęście Godfryda stało się kompletnym przez najściślejsze zastosowanie wielkiego prawa *improper*. Oto jak. Miał tygrysa nie grooma, jak piszą ludzie niemający pojęcia o szyku. Tygrys jego był to mały Irlandczyk, nazwiskiem Paddy, Joby, Toby (jak wolicie), trzy stopy wzrostu, dwadzieścia cali szeroki, buzia łasy, nerwy jak stal moczona w dżinie, zwinnie jak wiewiórka, powożący ze zrećnością, która go nie zawiodła nigdy ani w Londynie, ani w Paryżu; oko jaszczurcze, sprytnie jak moje, jeździł konno jak stary Frankoni, włosy blond jak u Rubensowej dziewczycy, buzia czerwona, fałszywy jak monarcha, kuty jak stary kauzyperda, liczący dziesięć lat wieku, słowem istny kwiat perwersji, grający, klnący, amator konfitur i ponczu, napastliwy jak felieton, zuchwały i drapieźny jak ulicznik

paryski. Był chwałą i zyskiem sławnego lorda angielskiego, który dzięki niemu wygrał już siedemset tysięcy franków na wyścigach. Lord lubił bardzo tego dzieciaka, jego tygrys to była osobliwość, nikt w całym Londynie nie miał tak małego tygrysa. Na koniu wyścigowym Joby robił wrażenie sokoła. I oto lord odprawił Toby'ego nie za łakomstwo ani za kradzież, ani za morderstwo, ani za występne stosunki, ani za uchybienie służbie, nie za zuchwałstwo wobec milady, nie za to, że rozpruł kieszenie pokojówki milady, nie za to, że się dał przekupić przeciwnikom lorda na wyścigach, nie za to, że się bawił w niedzielę, słowem nie za żaden fakt naganny. Gdyby Toby popełnił wszystkie te zbrodnie, gdyby nawet przemówił do milorda niepytany, milord przebaczyłby mu ten występpek. Milord zniósłby wiele rzeczy od Toby'ego, tak milordowi zależało na nim. Jego tygrys prowadził powóz na dwóch kołach i o dwóch koniach, jeden przed drugim, siedząc na siodle na drugim koniu, z nogami nie dochodzącymi do dyszlów, z miną jednego z aniołków, którymi malarze włoscy otaczają przedwiecznego Ojca. Pewien dziennikarz angielski ślicznie opisał tego aniołka, osądził, że jest za ładny na tygrysa, chciał iść o zakład, że Paddy jest oswojoną tygrysią. Opis groził, że będzie coraz jadowitszy i że się stanie *improper* w najwyższym stopniu. Superlatyw *improper* wiedzie na szubienicę. Milady bardzo pochwaliła milorda za jego przezorność. Toby nie mógł znaleźć nigdzie miejsca, skoro raz podano w wątpliwość jego rolę w wielkobrytyjskiej zoologii... W tym właśnie czasie Godfryd kwitnął w ambasadzie francuskiej w Londynie, gdzie dowiedział się o historii Toby'ego, Joby'ego, Paddy'ego. Godfryd przygarnął tygrysiątko, które zastał płaczące nad stoikiem konfitur, dzieciak bowiem zdążył już stracić gwineę, którymi lord ozłocił jego nieszczęście. Za powrotem Godfryd de Beaudenord przywiózł tedy do nas najśliczniejszego tygrysa z całej Anglii, wślawił się przez swego tygrysa, jak Couture zwrócił na siebie uwagę przez swoje kamizelki. Toteż dostał się z łatwością do klubu zwanego dziś *de Grammont*. Nie drażnił niczyjej ambicji, zrezygnowawszy z kariery dyplomatycznej, nie był zbyt dowcipny, przyjęli go wszyscy z otwartymi rękami. My na przykład czulibyśmy się dotknięci w naszej miłości własnej, gdybyśmy wszędzie spotykali tylko uśmiech... Lubimy oglądać gorzki grymas zawiści. Godfryd nie lubił, aby go nienawidzono. Każdy ma swój gust! Przejdźmy do rzeczy pozytywnych, do życia materialnego. Mieszkanie jego, gdzie oblizywałem palce po niejednym śniadanku, zalecało się tajemniczą gotownią, strojną, pełną wykwintnych drobiazgów, z kominkiem, z wanną; wyjście małymi schodkami, drzwi zamykające się cicho, gładkie zamki, dyskretne zawiasy, matowe okna, szczelne firanki. O ile sypialnia przedstawiała i powinna była przedstawiać najpiękniejszy nieład, jakiego mógł wymagać najbardziej wymagający akwarelista, o ile wszystko oddychało tam cyganerią młodego eleganta, o tyle gotownia była jak sanktuarium: biała, czysta, wysprzątana, ciepła, bez wiatru wiejącego przez szpary, z dywanem, na który kobieta mogła skoczyć boso, w koszuli i wystraszona. Tam ocenia się prawdziwego złotego młodzieńca znającego życie! Tam w ciągu kilku minut może się okazać albo głupcem, albo wielkim człowiekiem w drobnych szczegółach egzystencji, które zdradzają charakter. Wspomniana już margrabina, nie, to margrabina de Rochefide, wyszła wściekła z pewnej gotowni i nigdy do niej nie wróciła: nie znalazła nic *improper*. Godfryd miał tam szafę pełną...

— Kamizelek — rzekł Finot.

— Et, ty gruby Turcarecie! (Nie wychowam go nigdy!) Ależ nie, ciasteczek, owoców, buteleczek Malagi, Lunelu, zastawę *a la* Ludwik XIV, wszystko, co może ucieszyć wybredny i delikatny żołądek, żołądek doskonale urodzony. Stary szczywany slugus, biegły w weterynarii, chodził koło koni i koło Godfryda, służył bowiem jeszcze u starego pana de Beaudenord i żywił dla Godfryda tradycyjne przywiązanie, ową chorobę serca, z której kasy oszczędności wyleczyły służbę. Wszelkie szczęście materialne opiera się na cyfrach. Wy, którzy znacie życie paryskie aż do jego narości, zgadujecie, że trzeba mu było około siedemnastu tysięcy franków renty, płacił bowiem siedemnaście franków podatku, a miał za tysiąc talarów kaprysów. Otóż, drogie dzieci, w dniu, w którym obudził się pełnoletnim, margrabia d'Aiglemont przedstawił mu rachunki z opieki takie, jakich my nie będziemy w stanie zdać naszym siostrzeńcom, i wręczył mu skrypt na osiemnaście tysięcy franków renty na Wielkiej Księżce, resztkę bogactw ojcowskich, oskrobanych przez republikańską redukcję i oskubanych przez zaległości Cesarstwa. Ten zacny opiekun oddał swemu pupilowi trzydzieści tysięcy oszczędności złożonych w banku Nucingena, oświad-

czając z wdziękiem wielkiego pana i swobodą żołnierza, że oszczędził mu tę sumę na figle młodzieńcze. „Wierz mi, Godfrydzie, dodał, zamiast strwonić te pieniądze głupio jak tyłu innych, rób szaleństwa użyteczne, przyjm miejsce sekretarza ambasady w Turynie, stamtąd pojedź do Neapolu, z Neapolu do Londynu, zabawisz się i nauczysz za swoje pieniądze. Później, jeżeli zechcesz obrać jakąś karierę, przekonasz się, żeś nie stracił czasu ani pieniędzy”. Nieboszczyk d'Aiglemont wart był więcej niż jego reputacja, czego nie można powiedzieć o nas.

— Młody człowiek, który zaczyna w dwudziestym pierwszym roku życia z osiemnastoma tysiącami franków renty, przepadł — rzekł Couture.

— O ile nie jest sknera lub bardzo tęga głowa — dodał Blondet.

— Godfryd przebył jakiś czas w czterech stolicach Włoch. Poznał Niemcy i Anglię, trochę Petersburg, przebiegł Holandię, ale pożegnał się ze swymi trzydziestoma tysiącami, żyjąc tak, jakby miał trzydzieści tysięcy renty. Wszędzie znalazł *suprême de volaille*, auszpik i *wina francuskie*, wszędzie wszyscy mówili po francusku, słowem nie mógł wyjść z Paryża. Byłby chciał zepsuć się, zahartować, stracić złudzenia, nauczyć się słuchać wszystkiego bez rumieńca, mówić nic nie mówiąc, przenikać tajemną grę sił... Ba! daremnie uzbroił się w cztery języki, to znaczy cztery słowa na jedną myśl. Wrócił jako wdowiec po kilku nudnych matronach, które nazywa się zagranicą *awanturkami*, nieśmiały, niewyrobiony, dobry chłopiec, pełen ufności, niezdolny mówić źle o ludziach, którzy go raczyli przyjmować u siebie, nadto szczery, aby być dyplomatą, słowem to, co nazywamy porządny chłopiec.

— Krótko mówiąc *smarkacz*, który chował swoich osiemnaście tysięcy franków renty na żer pierwszych akcji, które się nadarzą — rzekł Couture.

— Ten przeklęty Couture ma tak dalece zwyczaj wybierać naprzód dywidendy, że wybiera z góry koniec mojej historii. Na czym ja stanąłem? Na powrocie Godfryda. Skoro się urządził przy Quai Malaquais, zdarzyło się, że tysiąc franków, które miał ponad potrzebę, okazały się niewystarczające na jego udział w łoży we Włoskim i w Operze. Kiedy przegrał dwadzieścia pięć lub trzydzieści ludwików w karty albo w jakim zakładzie, oczywiście płacił; potem wydawał je w razie wygranej, co i nam by się zdarzyło, gdybyśmy byli dość głupi, aby się zakładać. Beaudenord, skrępowany w swoich osiemnastu tysiącach renty, uczył potrzebę stworzenia sobie tego, co nazywamy dziś *kapitałem obrotowym*. Bardzo mu zależało na tym, *aby się nie zjadać samemu*. Poszedł się poradzić opiekuna. „Mój drogi chłopcze, rzekł d'Aiglemont, renta dochodzi do *pari*; sprzedaj swoją rentę, ja właśnie sprzedałem moją i mojej żony. Nucingen wzięł wszystkie moje kapitały i daje mi sześć od sta: zrób jak ja, będziesz miał jeden procent więcej, a ten jeden procent pozwoli ci żyć zupełnie wygodnie”. W trzy dni później, Godfryd żył wygodnie. Dochody były w zupełnej równowadze z jego zbytkiem, szczęście jego było zupełne. Gdyby można wszystkich młodych ludzi w Paryżu zapytać jednym słowem — jak, zdaje się, będzie się praktykowało w dniu sądu ostatecznego z miliardami pokoleń, które się paprały na wszystkich globach jako gwardziści narodowi czy jako dzicy — i spytać ich, czy szczęście dwudziestoletniego młodzieńca nie polega na tym, aby się przejeżdżać konno, w tilbury lub w kabrioletcie z tygrysem małym jak pięść, świeżym i różowym jak Toby, Joby, Paddy; aby mieć wieczorem za dwanaście franków bardzo przyzwoity ekwipaż; pokazywać się wystrojonym w duchu praw kostiumowych rządzących godziną ósmą, południem, czwartą i wieczorem; być dobrze przyjmowanym we wszystkich ambasadach i zbierać tam znikome kwiaty kosmopolitycznych i zdawkowych przyjaźni; być dość przystojnym, dobrze nosić swoje nazwisko, swój frak i swoją głowę; mieszkać w ślicznej antresolce urządzonej tak właśnie, jak była urządzona antresola przy Quai Malaquais; móc zapraszać przyjaciół do Rocher de Cancale, nie radząc się wprzód swojej sakiewki i nie być w każdym racjonalnym ruchu hamowanym tym słówkiem: „A! a pieniądze?”. Móc odnawiać różowe pompony strojące uszy trzech rasowych koników i mieć zawsze świeżą podszewkę w kapeluszu; — wszyscy, nawet my, ludzie wyżsi, wszyscy odpowiedzialiby, że to szczęście jest niezupełne, że to jest kościół św. Magdaleny bez ołtarza, że trzeba kochać i być kochanym, lub kochać, nie będąc kochanym, lub być kochanym, nie kochając, lub móc kochać na prawo i lewo.

Przejdźmy do szczęścia moralnego. Kiedy w r. 1823 Godfryd uleżał się dostatecznie w swoich rozkoszach, zdomowiwszy się w rozmaitych towarzystwach paryskich, w któ-

rych zaczął bywać, zapragnął schronić się pod jakąś parasolkę, zdobyć sobie prawa do utyskiwań na kobietę z towarzystwa, nie musieć gryźć ogonka róży kupionej za dziesięć groszy u pani Prevost, na kształt młodych dudków, którzy gdakają w korytarzach Opery jak kurczęta w kojcu. Słowem, postanowił skupić swoje uczucia, myśli, afekty na kobiecie, *kobiecie*. *Kobita!* OCH! Powziął najpierw dziki pomysł miłości nieszczęśliwej, kręcił się jakiś czas koło swej pięknej kuzynki, pani d'Aiglemont<sup>8</sup>, nie widząc, że pewien dyplomata tańczył już z nią walca Fausta. Rok 1825 zeszedł na próbach, szukaniach, daremnych zalotach. Poszukiwany kochający przedmiot nie znalazł się. Namiętności są nadzwyczaj rzadkie. W naszej epoce wyrosło tyleż barykad w obyczajach co na ulicach! Zaiste, moi bracia, powiadam wam, *improper* udziela się nam!

Ponieważ czynią nam zarzuty, że robimy konkurencję portrecistom, taksatorom, modystkom, nie będę was dręczył opisem osoby, w której Godfryd poznał swoją samiczkę. Wiek dziewiętnaście lat; wzrost metr pięćdziesiąt; włosy blond, brwi *idem*<sup>9</sup>; oczy niebieskie, czoło średnie, nosk orli, małe usta, krótka i zadarta bródka, twarz owalna; znaki poszczególne żadne. Oto rysopis ukochanego przedmiotu. Nie bądźcie bardziej wymagający niż policja, niż pp. merowie wszystkich miast i gmin Francji, niż żandarmi i inne obowiązujące władze. Zresztą, to jest rysopis Wenus medycejskiej, słowo honoru. Za pierwszym razem, kiedy Godfryd poszedł do pani de Nucingen (zaprosiła go na jeden ze swych balów, dzięki którym zyskała tanim kosztem reputację), spostrzegł w kadrylu kobietę do kochania.

Ten metr pięćdziesiąt oczarował go. Te blond włosy spływały pienistą kaskadą z małej główki, naiwnej i świeżej jak główka najady, która wychyliła się z kryształowego źródła, aby ujrzeć kwiaty wiosenne. (To jest nasz nowy styl, frazesy, które się nawleka jak my makaron przed chwilą). *Idem* brwi, niech mi daruje prefektura policji, mogłyby zażądać sześciu wierszy od milego Parny: ten figlarny poeta porównałby je bardzo dwornie do łuku Kupidyndy, nadmieniając, że strzała znajdowała się pod lukiem, ale strzała bez siły, stępiona, włada w niej bowiem jeszcze dziś owa cielęca słodycz, jaką ryciny dają pani de la Vallière w chwili, gdy stwierdza swą czułość wobec Boga, dlatego że nie może jej stwierdzić wobec reagenta. Czy znacie działanie włosów blond i niebieskich oczu, skombinowanych z miękkim, rozkosznym i obyczajnym tańcem? Młoda osóbką nie uderza cię wówczas śmiało w serce, jak owe brunetki, które spojrzeniem swoim powiadają ci niby żebrak hiszpański: „Sakiewka lub życie! Pięć franków albo gardzę tobą”! Owe zuchwałe (i dość niebezpieczne!) piękności mogą się podobać wielu mężczyznom, ale wedle mnie blondynka, która ma szczęście wydawać się nadzwyczaj czuła i zgodna, nie wyzbywając się swoich praw do wymówek, do droczeń, do paplania, do głupich scen zazdrości i wszystkiego, co daje kobiecie wdzięk, zawsze łatwiej się wyda za męża niż ognista brunetka. Opał jest drogi. Izaura, biała jak Alzatka (ujrzała światło dzienne w Strasburgu i mówiła po niemiecku z bardzo przyjemną odrobiną francuskiego akcentu), tańczyła cudownie. Nóżki jej, których urzędnik policji nie wspominał, a które wszakże mogłyby znaleźć miejsce w rubryce *znaki szczególne*, uderzały swoją małością, ową osobliwą finezją, dającą się porównać z rozkoszną dykcją panny Mars, wszystkie bowiem muzy są siostrami, tancerz i poeta jednakowo stawiają nogi na ziemi. Nóżki Izaury rozmawiały z ową jasnością, ścisłością, lekkością, zwinnością bardzo dobrze wróżącą dla rzeczy serca. „Ona ma dryg” to była najwyższa pochwała Marcela, jedyne metra<sup>10</sup> tańców, który zasłużył na przydomek wielkiego. Mówiono wielki Marcel jak wielki Fryderyk, i to za czasu Fryderyka.

— Czy on komponował balety? — spytał Finot.

— Tak, coś w tym rodzaju. *Cztery Żywioły, Dworna Europa*.

— Co za czasy — rzekł Finot — epoka, kiedy wielcy panowie ubierali tancerki!

— *Improper!* — odparł Bixiou. — Izaura nie podnosiła się na palcach, stąpała po ziemi, kołysała się łagodnie, ani mniej, ani bardziej rozkoszliwie niż przystało młodej pannie. Marcel powiadał z głęboką filozofią, że każdy stan ma swój taniec: mężatka powinna tańczyć inaczej niż panna, urzędnik inaczej niż finansista, wojskowy inaczej niż paż; posuwał się nawet do twierdzenia, że piechur powinien tańczyć inaczej niż kawale-

<sup>8</sup>kręcił się (...) koło swej pięknej kuzynki, pani d'Aiglemont — [por.] *Kobieta trzydziestoletnia*. [przypis tłumacza]

<sup>9</sup>*idem* (łac.) — to samo. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*metr* (z fr.) — nauczyciel. [przypis edytorski]

rzysta; i z tego punktu wyjścia analizował całe społeczeństwo. Wszystkie te odcienie są już bardzo dalekie.

— Ha! — rzekł Blondet — kładziesz palec na wielkie nieszczęście. Gdyby zrozumiano Marcela, nie przyszłoby do rewolucji francuskiej.

— Godfryd — podjął Bixiou — przebiegając Europę, miał sposobność zgłębić do gruntu cudzoziemskie tańce. Bez owej głębokiej wiedzy choreograficznej, uważanej za błahostkę, nie byłby może pokochał tej młodej osoby; ale wśród trzystu zaproszonych gości, którzy się cisnęli w pięknych salonach ulicy przy Saint-Lazare, on jeden zdolny był zrozumieć obietnice miłości kryjące się w tym niedyskretnym tańcu. Zauważono wprawdzie sposób tańczenia Izaury d'Aldrigger, ale ot, jeden rzekł: „Ta młoda panienka wybornie tańczy” (to był dependent u rejenta); ktoś inny: „Ta młoda osóbką tańczy czarująco” (to była dama w turbanie); ktoś trzeci, kobieta trzydziestoletnia: „Ta mała wcale nieźle tańczy”! Wróćmy do wielkiego Marcela i powiedzmy, parodiując jego najsłynniejszy aforyzm: „Ile rzeczy w jednym *pas*<sup>11</sup>”!

— I jedźmy trochę prędzej! — rzekł Blondet. — Za wiele mariwodażu.

— Izaura — ciągnął Bixiou, spojrzawszy koso na Blondeta — miała skromną sukienkę z białej gazy z zielonymi wstążkami, kamelię we włosach, kamelię u paska, jeszcze kamelię u dołu sukni, i kamelię...

— Ależ to trzysta kóz Sancho Pansy!

— To cała literatura, mój drogi! *Klaryssa* jest arcydziełem, a ma czternaście tomów i najtępszy wodewilista streściłby ci ją w jednym akcie. Bylebym cię bawił, o cóż ci chodzi? Ta tualeta była rozkoszna, czy ty nie lubisz kamelii? Chcesz zatem dalej? Nie. Więc masz kasztan — rzekł Bixiou, który rzucił zapewne kasztan Blondetowi, bo usłyszeliśmy głuchy brzęk talerza.

— Moja wina — rzekł Blondet — jedź dalej.

— Jadę — rzekł Bixiou. — „Czy to nie byłaby rozkoszna żoneczka?” rzekł Rastignac do Godfryda, pokazując mu małą z kameliami, białymi, czystymi, bez jednego brakującego listka. Rastignac należał do serdecznych przyjaciół Godfryda. „Wiesz! myślałem o tym” szepnął mu do ucha Beaudenord. „Mówiłem sobie właśnie, że miał drzeć w każdej chwili o swoje szczęście, wsuwać z trudem jakieś słówko w nieuważne ucho, śledzić w Operze, czy we włosach tkwi kwiat biały czy czerwony, czy w Lasku rączka w rękawiczce spoczywa na szybie powozu jak się to praktykuje na Corso w Mediolanie; miał kraść kęs ciastka za drzwiami jak lokaj, który dopija butelki; miał zużywać swą inteligencję na doręczanie i odbieranie listów jak posłaniec, miał otrzymywać bezmiar czułości w dwóch wierszach, mieć pięć tomów *in folio* do przeczytania dziś a dwa arkusze jutro, co jest męczące, miał włóczyć się po wyrwach i zaroślach, lepiej byłoby poddać się uroczej miłości, której tak zazdrościł J. J. Rousseau, pokochać całkiem po prostu młodą osóbkę jak Izaura, z zamiarem uczynienia z niej swojej żony, o ile w czasie wymiany uczuć serca nadadzą się sobie; słowem, stać się Werterem szczęśliwym!” „Głupstwo nie gorsze od innych” rzekł Rastignac poważnie. „Na twoim miejscu zanurzyłbym się może w upojeniach tego ascetyzmu, jest nowy, oryginalny i niekosztowny. Twoja Mona Liza jest słodka, ale głupia jak baletowa muzyka, uprzedzam cię o tym.

Sposób, w jaki Rastignac wyrzekł te ostatnie słowa, obudził w Godfrydzie podejrzenie, że przyjaciel ma interes w tym, aby go zniechęcić; jako ex-dyplomata zwierzył w nim rywala. Chybione powołania odciskają się na całej egzystencji. Godfryd rozkochał się tak gruntownie w pannie Izaurze d'Aldrigger, że Rastignac podszedł do rosłej pannicy, która rozmawiała z kimś w karciarńi i szepnął jej do ucha: „Panno Malwino, siostra złapała w sieć rybę, która waży osiemnaście tysięcy franków renty, ma nazwisko, niezłą pozycję w świecie i szyk; niech pani uważa na nich, jeżeli zaczną gruchać, niech pani wymusztruje Izaurę tak, aby nie powiedziała jednego słowa które by nie przeszło przez pani cenzurę”. Około drugiej w nocy lokaj przyszedł oświadczyć pasterce alpejskiej, czterdziestolatce zalotnej jak Zerlina z *Don Juana*, koło której siedziała Izaura: „Powóz pani baronowej zajechał”. Wówczas Godfryd ujrzawszy swą piękność z niemieckiej ballady, ciągnącą fantastyczną matkę do sieni, gdzie za tymi paniami udała się i Malwina. Beaudenord, który udał (dziecko!), że idzie zobaczyć, w jakim słoiku konfitur pochował się Joby,

<sup>11</sup>*pas* (fr.) — krok. [przypis edytorski]

miał szczęście ujrzeć Izaurę i Malwinę, jak zawijają swą ognistą mamusię w futra i używają sobie wzajem owych drobnych starań toaletowych, jakich wymaga nocna wędrówka przez Paryż. Obie siostry przyjrzały mu się spod oka jak dwie dobrze wychowane kotki, które zerkają na mysz, udając, że nie zwracają na nią uwagi. Godfryd z pewną satysfakcją stwierdził ton, wzięcie, postawę rosłego alzatczyka w liberii, starannie urękawicznionego, który przyniósł wielkie futrzane kalosze swoim paniom. Nigdy dwie siostry nie były mniej podobne do siebie niż Izaura i Malwina. Starsza wysoka brunetka, Izaura drobna i szczupła; u tej rysy drobne i delikatne, u tamtej wydatne i energiczne kształty. Izaura była kobietą, która panuje brakiem siły i którą gimnazysta czułby się w obowiązku opiekować; Malwina to była kobieta z *Czy widziałeś w Barcelonie*.<sup>12</sup> Przy siostrze Izaura robiła wrażenie miniatury przy portrecie olejnym. „Bogata jest?” spytał Godfryd Rastignac, wracając do sali balowej. „Kto taki?” — „Ta młoda osoba”. — „A! Izaura d'Aldrigger. Ależ tak. Matka jest wdową. U jej męża pracował Nucingen w jego banku w Strasburgu. Jeżeli chcesz ją zobaczyć, zakręć się z miłym słówkiem koło pani de Restaud, która daje bal pojutrze, baronowa d'Aldrigger i obie panny będą, zaprosi cię”. Przez trzy dni *camera obscura* mózgu Godfryda pełna była Izaury, jej białych kamelii i jej minek. Tak, wpatrując się długo w silnie oświetlony przedmiot, zamknąwszy oczy, odnajdujemy go w zmniejszonej formie, promienny, barwny, iskrzący w ciemnościach.

— Bixiou, gubisz się w szczegółach, skup swój obraz — rzekł Couture.

— Sługa najniższy! — odparł Bixiou, przybierając zapewne pozę garsona z kawiarni — już się rrobi, służę panom, żądany obrazek rraz! Bacność, Finot, nadstaw głowę, żebym trafił do niej lopatą. Pani Małgorzata Teodora Wilhelmina Adolfus (z domu Adolfus i Spółka z Mannheimu), wdowa po baronie d'Aldrigger, to nie była poczciwa gruba Niemka, nabita i flegmatyczna, biała, o twarzy złotawej jak piana w dzbanku z piwem, bogata we wszystkie patriarchalne cnoty, jakie posiada Germania, mówiąc utartym stylem. Miała lica jeszcze świeże, czerwone na kościach policzkowych jak u lalki norymberskiej, zalotne loczki na skroniach, wyzywające oczy, ani śladu siwych włosów, szczupłą talię, której pretensje uwydatniały się w sukniach z gorsetem. Miała na czole i na skroniach parę mimowolnych zmarszczek, które byłaby rada, jak Ninon, wypędzić na pięty; ale zmarszczki upierały się kreślić swoje zygzaki w najbardziej widocznych miejscach. Koniec nosa zaczynał czerwienieć, co było dla niej tym przykrzejsze, iż nos harmonizował wówczas z kolorem policzków. Jedyńcza ta, psuta przez rodziców, psuta przez męża, psuta przez cały Strasburg i wciąż psuta przez córki, które ją ubóstwiały, baronowa pozwalała sobie na różowy kolor, na krótką spódniczkę, na kokardkę u gorsetu rysującego jej kibić. Kiedy paryżanin widzi baronową przechodzącą bulwarem, uśmiecha się krytycznie, nie dopuszczając, jak dzisiejsze sądy przysięgłych, okoliczności łagodzących w bratobójstwie! Kpiarz jest zawsze istotą powierzchowną i tym samym okrutną; ten cymbał nie bierze zupełnie w rachubę cząstki, jaka przypada społeczeństwu w śmieszności, z której się śmieje, natura bowiem stworzyła tylko bydlęta, a głupców zawdzięczamy cywilizacji.

— Co mnie zachwyca w tym Bixiou — rzekł Blondet — to że jest z jednej sztuki: kiedy nie drwi z innych, kpi z samego siebie.

— Blondet, zapłacę ci za to — rzekł Bixiou chytrze. — Jeżeli baronowa była postrzelona, lekkomyślna, egoistka, niezdolna do rachunku, odpowiedzialność za jej wady przypadała domowi Adolphus i Sp. z Mannheimu oraz ślepej miłości barona d'Aldrigger. Łagodna jak baranek, baronowa miała serce czułe, łatwe do wzruszenia, ale nieszczęściem wzruszenie trwało krótko i, co za tym idzie, zmieniało się często. Kiedy baron umarł, pasterka ta omal nie poszła za nim, tak boleść jej była szczerą i prawdziwą, ale... nazajutrz przy śniadaniu podano jej groszek, który lubiła i ten rozkoszny groszek uśmierzył atak bólu. Córki, służba, wszyscy kochali ją tak ślepo, że cały dom był szczęśliwy z okoliczności, która pozwoliła ukryć przed baronową bolesny widok konduktu. Izaura i Malwina ukryły lzy przed ubóstwianą matką i zajęły ją dobieraniem i zamawianiem żałoby, podczas gdy śpiewano *requiem*. Kiedy ustawią trumnę na wielkim katafalku, na poplamionym od wosku kirze, który obsłużył trzy tysiące dystyngowanych osób, nim mu przyznano stan spoczynku (oszacowanie karawaniarza-filozofa, którego pytałem w tym względzie między dwoma kieliszkami likieru), kiedy obojętne klechy ryczą *Dies irae*, kiedy wysoki kler nie

<sup>12</sup>*Czy widziałeś w Barcelonie?* — Początek słynnego wiersza Musseta. [przypis tłumacza]

mniej obojętny odprawia mszę, czy wiecie co mówią czarno ubrani przyjaciele, siedząc lub stojąc w kościele? (Oto żądany obraz). Czy ich widzicie? „Jak pan sądzi, ile zostawi stary d'Aldrigger?” mówił Desroches do Taillefera, który nam wyprawił przed śmiercią najpiękniejszą orgię, jaką pamiętam.

— Czy Desroches był wtedy adwokatem?

— Został nim w 1822 — rzekł Couture. — To było śmiało na syna biednego urzędniczka, który nigdy nie miał więcej niż tysiąc osiemset franków; matka jego trzymała trafickę ze stemplami! Ale on twardo pracował od 1818 do 1822. Wszedł jako czwarty dependent do Derville'a, a był już drugim dependentem w 1819!

— Desroches!

— Tak — rzekł Bixiou. — Desroches tarzał się jak my na barłogach *jobizmu*. Zgnębiony noszeniem za ciasnych ubrań i za krótkich rękawów, połknął z rozpaczny prawo i kupił sobie nagi tytuł. Jako adwokat bez grosza, bez klienteli, bez innych przyjaciół prócz nas, musiał opłacać procenta kancelarii i kaucji.

— Robił na mnie wówczas wrażenie tygrysa który się wydarł z Botanicznego Ogrodu — rzekł Couture. — Chudy, z rudymi włosami, z tabaczkowymi oczyma, z żółciową cerą, zimny i flegmatyczny na pozór, ale twardy dla wdowy, nieubłagany dla sieroty, pracowity, postrach dependentów, którym nie pozwalał tracić czasu, wykształcony, sprytny, chytry, fałszywy, miódopłynny, nieunoszący się nigdy, zawzięty jak kauzyperda.

— I z tym wszystkim on ma dobre strony — wykrzyknął Finot — pamięta o przyjaciółach, pierwszym jego postępkim było wziąć na pierwszego dependenta Godeschala, brata Mariety.

— W Paryżu — rzekł Blondet — adwokat ma tylko dwa odcienie: jest adwokat uczciwy człowiek, który trzyma się w granicach prawa, prowadzi procesy, nie goni za sprawami, nie zaniedbuje niczego, radzi klientom lojalnie, każe im się układać w wątpliwych sprawach, słowem Derville. Następnie jest adwokat głodomór, dla którego wszystko jest dobre, byle koszta były pokryte, który by się procesował już nie o góry ale o planety, który się podejmuje wygrać sprawę łajdaka przeciw uczciwemu człowiekowi, kiedy przypadkiem uczciwy człowiek ma formy przeciw sobie. Kiedy jeden z takich adwokatów wypłata sztuczkę nazbyt grubą, Izba zmusza go, aby sprzedał kancelarię. Desroches, nasz przyjaciel Desroches, zrozumiał to rzemiosło dość lichy w rękę lichych ludzi: odkupywał procesy od tych, którzy bali się je przegrać, rzucił się w pieniąctwo jak człowiek zdecydowany wyjść z nędzy. Miał rację, pełnił bardzo uczciwie swoje rzemiosło. Znalazł protektorów w ludziach politycznych, których wypłatał z trudnego położenia, jak na przykład nasz kochany des Lupeaulx, którego pozycja była tak zachwiana. Trzeba było tego Desrochowi, aby się wygrzebać, bo zaczął być źle widziany w trybunale! On, który z takim trudem prostował błędy swoich klientów!... Ale wracaj do rzeczy, Bixiou: po co Desroches był w kościele?

— „D'Aldrigger zostawił siedemset do ośmiuset tysięcy franków” odparł Desrochowi Taillefer. „A, ba, jest tylko jedna osoba, która zna *ich* majątek” oświadczył Werbrust, przyjaciel nieboszczyka. „Kto taki?” — „Ten gruby hultaj Nucingen, ten pójdzie na sam cementarz, d'Aldrigger był jego pryncypałem i przez wdzięczność on obracał kapitałami poczciwca”. — „Żona jego uczuje wielką pustkę!” — „Jak pan to rozumie?” — „D'Aldrigger tak kochał swoją żonę! Nie śmieje się, patrzą na nas”. — „O, jest du Tillet, spóźnił się bardzo, przychodzi na ewangelię”. — „Pewnie się ożeni ze starszą”. — „Czy podobna?”, rzekł Desroches, toż on bardziej niż kiedykolwiek zabrnął w panią Roguin”. „On zabrnął?... nie znacie go”. — „Czy znacie sytuację Nucingena i du Tilleta?” spytał Desroches. „Sytuacja jest taka, rzekł Taillefer: Nucingen jest to człowiek zdolny pożreć majątek swego dawnego patrona... i oddać mu go...” — „Hu! hu!” zakaszła Werbrust. „Diabelnie jest zimno w kościołach, hu! hu! — jak to oddać?...” — „Ano tak: Nucingen wie, że du Tillet ma wielki majątek, chce go wyswatać z Malwiną, ale du Tillet boi się Nucingena. Kto się zna na grze, może się ubawić, patrząc na tę partię”. „Jak to, rzekł Werbrust, już panna na wydaniu?... Jak my się starzejemy!” — „Malwina d'Aldrigger ma dwadzieścia lat, mój drogi. Poczciwy d'Aldrigger ożenił się w 1800! Wyprawił nam piękne bale w Strasburgu z okazji swego małżeństwa i urodzin Malwiny. Było to w 1801, w czasie pokoju w Amiens, a dziś mamy rok 1823, ojczulku Werbrust. W owym czasie wszystko było na modę Osjana, nazwał swoją córkę Malwiną. W sześć lat później, za Ce-

Prawnik

sarstwa, był przez jakiś czas szal na rycerstwo, czasy arii: *Jadąc do Syrii, rycerz nasz* i tym podobne głupstwa. Nazwał drugą córkę Izaurą, ma siedemnaście lat. Są więc dwie panny na wydaniu”.

„Te kobiety nie będą miały ani grosza za dziesięć lat” rzekł poufnie Werbrust do Desroches'a. „Jest tam lokaj Aldriggera, odparł Taillefer, ten stary, który tam ryczy w kącie, nosił na rękach obie dziewczyny, zdolny uczynić wszystko, aby one miały z czego żyć”. (Śpiewacy: *Dies irae!* Dzieci na chórze: *dies illa!*) Taillefer: „Bądź zdrow, Werbrust, kiedy słyszę *Dies irae*, zanadto myślę o moim biednym synu”. „I ja też idę, za wilgotno jest” rzekł Werbrust. (*In favilla*. Biedni u bramy: „Grosika, wielmożny panie”). (Szwajcar: „Pam! Pam! *Ofiara na kościół*”. Śpiewacy: *Amen!* Przyjaciół: „Na co on umarł?” Kawalarz: „Z pęknięcia aorty w pięcie”. Zakrystian do żebraków: „Idźcie już, dostaliśmy dla was, nie nudźcie już o nic!”).

— Co za werwa! — rzekł Couture.

(W istocie mieliśmy wrażenie, że słyszymy cały zgłębiony kościelny. Bixiou naśladował wszystko, nawet kroki ludzi wynoszących ciało, szorując nogami po podłodze).

— Są poeci, romansopisarze, pisarze, którzy mówią wiele pięknych rzeczy o życiu paryskim — podjął Bixiou — ale oto szczerza prawda o pogrzebie. Na sto osób, które oddają ostatnią posługę jakiemuś nieborakowi, dziewięćdziesiąt dziewięć mówi w kościele o interesach i o przyjemnościach. Aby spostrzec odrobinę biedniuchnej szczerzej bolesti, trzeba nadzwyczajnych okoliczności. A i to: czy istnieje boleść bez egoizmu?

— Hm, hm — rzekł Blondet. — Nie ma rzeczy mniej szanowanej niż śmierć, może i jest to rzecz najmniej godna szacunku?...

— To takie pospolite! — odparł Bixiou. — Kiedy się skończyło nabożeństwo, Nucingen i du Tillet odprowadzili ciało na cmentarz. Stary lokaj szedł pieszo. Wóznica jechał tuż za powozem księży. *I dzóz, troki bżyjadzielu*, rzekł Nucingen do du Tilleta na zakręcie, *do źlidźna zbobozność, aby zię oszenidź z Malfiną, pęcież potborą dej pietnej rociny we łsach, pęcież miał rocinę, tom, mieżganko już uszqcone, a Malfina do brafcify zgarp*.

— Mam wrażenie, że słyszę tego starego bandytę Nucingena! — rzekł Finot.

— „Urocza osoba” odparł Ferdynand du Tillet z ogniem na zimno — podjął Bixiou.

— Cały du Tillet w tym słowie! — wykrzyknął Couture.

— „Może się wydawać brzydka tym, co jej nie znają, ale przyznaję że ma duszę” rzekł du Tillet — *I zerdze, to najfászniejże, mój troki, to pędzie szona ottana i intelikendna. W nażym bzym safodzie nie fiatomo, kto szyje, kto umiera: do fielgie źdźędździe módz zię zafieszyc zerazu szony. Samieniłpym chędnie Telwinę, która, fiesz o dem, bżyniozła mi fiędzej niż milion, za Malfinę, gdóra nie ma tag fielgieko bozaku*. — „Ale ile ma?” — *Nie fiem ździźle*, odparł Nucingen, *ale ma dzoż*.

„Ma matkę, która lubi różowy kolor” rzekł du Tillet. To słowo położyło koniec próbom barona. Po obiedzie baron oznajmił Wilhelminie Adolphus, że jej zostało u niego ledwie czterysta tysięcy franków. Córka Adolphusów z Mannheimu, uszczuplona do dwudziestu czterech tysięcy franków renty, zgubiła się w rachunkach, które mieszały się jej w głowie. „Jak to! mówiła do Malwiny, jak to! toż ja miałam zawsze sześć tysięcy franków dla siebie u krawcowej! Ależ skąd ojciec brał pieniądze? To jest tyle co nic, dwadzieścia cztery tysiące, będziemy w nędzy. Ach, niechby mój ojciec widział mnie w takim upadku, umarłby z bólu, gdyby już nie był umarły! Biedna Wilhelmino!” I zaczęła płakać. Malwina, nie wiedząc, jak pocieszyć matkę, zaczęła jej perswadować, że jeszcze jest młoda i ładna, że w różowym jest jej zawsze do twarzy, że będzie chodziła do Opery, do Bouffons, do łoży pani de Nucingen. Ukołysała matkę marzeniem o uctach, balach, muzyce, pięknych tualetach i powodzeniach, aż kobiecina usnęła pod jedwabnymi błękitnymi kotarami wykwintnej sypialni, przylegającej do pokoju, gdzie dwie noce wprzód oddał ducha pan Jan Baptysta baron d'Aldrigger. Oto jego historia w trzech słowach.

Za życia ten szanowny Alzatczyk, bankier w Strasburgu, zrobił blisko trzy miliony. W r. 1800, mając około trzydziestu sześciu lat, na szczycie fortuny zdobytej w czasie Rewolucji, zaślubił przez ambicję i z miłości dziedziczkę Adolphusów z Mannheimu, młodą pannę ubóstwianą przez całą rodzinę. Naturalnym biegiem rzeczy odziedziczyła po wszystkich w ciągu dziesięciu lat. D'Aldrigger został wówczas baronem z łaski jego Cesarskiej i Królewskiej Mości, majątek jego bowiem zdwoił się; ale zapłonął miłością

Pogrzeb



do wielkiego człowieka, który mu dał tytuł. Zaczem między rokiem 1814 a 1815 zrujnował się, wzięwszy na serio *słońce spod Austerlitz*. Uczciwy Alzatzczyk nie zawiesił płatności, nie pokrył wierzycieli walorami, które uważał za złe; zapłacił wszystko gotówką z kasy, wycofał się z interesów i zasłużył na określenie swego dawnego sekretarza, Nucingena: „Uczciwy człowiek, ale głupi”. Wszystko razem wzięwszy, zostało mu pięćset tysięcy franków i pretensje do Cesarstwa, które już nie istniało. — *Odo to dżego brofáci sanatdo fieszydź f Napoliona*, powiedział, widząc rezultat likwidacji. Skoro się było jednym z pierwszych w mieście, jak zostać w nim po upadku?... Baron alzacki zrobił wówczas to, co robią wszystkie zrujnowane prowincjały: przybył do Paryża, nosił tam mężnie trójkolorowe szelki z haftowanymi orłami cesarskimi i zamknął się w towarzystwie bonapartystycznym. Oddał swoje walory baronowi de Nucingen, który mu dał osiem od sta od wszystkiego, przyjmując jego cesarskie wierzycielności jedynie z sześćdziesięcioma procentami straty, co było przyczyną, że d'Aldrigger ścisnął rękę Nucingena, mówiąc: *Pyłem befny, że znajtę f topie zerdze Alsaddżyga!* Nucingen wydobyl całą wierzycielność za pomocą naszego przyjaciela des Lupeaulx. Mimo iż dobrze oskubany, Alzatzczyk miał dochodu czterdzieści cztery tysiące franków. Zgryzota jego skomplikowała się *spleenem*, który ogarnia ludzi przywykłych żyć emocjami interesów, skoro ich są pozbawieni. Bankier postanowił się poświęcić — szlachetne serce! — swojej żonie, której majątek utonął w tej sprawie i która pozwoliła go sobie zabrać z łatwością osoby zupełnie nieświadomej interesów pieniężnych. Baronowa d'Aldrigger odnalazła tedy przyjemności, do których była przyzwyczajona; pustkę, jaką mogła odczuwać po towarzystwie strasburskim, wypełniły uciechy Paryża. Firma Nucingena była już wówczas, tak jak jest jeszcze obecnie, na szczycie finansów paryskich, a baron sprytny pokładał swój honor w tym, aby podejmować barona uczciwego. Ta chodząca cnota dobrze robiła w salonach Nucingena. Każda zima okrawała kapitał d'Aldriggera, ale nie śmiał czynić najmniejszej wymówki perle Adolphusów, czułość jego była najprzemysłniejsza a najmniej inteligentna pod słońcem. Zaczny człowiek, ale głupi! Umarł, pytając siebie: „Co się stanie z nimi beze mnie?” Następnie w chwili, gdy się znalazł sam ze starym służącym Wirthem, między dwoma atakami duszności, poczcziwiec polecił mu żonę i córki, jak gdyby ten alzacki Kaleb był jedyną rozsądną istotą w jego domu. W trzy lata później, w roku 1826, Izaura miała dwadzieścia lat, a Malwina była jeszcze panną. Bywając w świecie, Malwina spostrzegła w końcu, jak bardzo stosunki są powierzchowne, jak wszystko tam jest zważone, określone. Podobnie jak większość tzw. *dobrze wychowanych* pańien, Malwina nie znała mechanizmu życia, ważności majątku, trudności zdobycia grosza, ceny przedmiotów. Toteż przez tych sześć lat każda nauka była dla niej raną. Czteryście tysięcy franków zostawionych w banku Nucingena przez nieboszczyka d'Aldriggera, przeniesiono na konto baronowej, bo masa spadkowa po mężu była jej winna milion dwieście tysięcy; otóż, za lada kłopotem, pasterka czerpała tam jak w nieprzebranej kasie. W chwili, gdy nasz gołąbek zbliżał się do swej gołębiczy, Nucingen, znając charakter swej dawnej pryncypalowej, musiał objaśnić Malwinę co do sytuacji majątkowej, w jakiej znalazła się wdowa: było u niego tylko trzysta tysięcy franków, dwadzieścia cztery tysiące renty spadło do osiemnastu tysięcy. Wirth obronił pozycję przez trzy lata. Po zwierzeniu barona, skasowano konie, sprzedano powóz. Malwina odprawiła bez wiedzy matki woźnicę. Mebli, które liczyły dziesięć lat, nie można była odnowić, ale wszystko spełzło równocześnie. Dla tych, co lubią harmonię miało to pewien wdzięk. Baronowa, ten kwiat tak dobrze zachowany, nabrała wyglądu zimnej i zakatarzonej róży, która w listopadzie została sama na krzaku. Ja, który tu do was mówię, widziałem, jak cały ten dostatek przygasał tonami, półtonami! Straszne! daję wam słowo. To była moja ostatnia zgryzota. Potem, powiedziałem sobie: „To głupie tak się przejmować cudzymi sprawami!” W czasie, gdy byłem urzędnikiem, byłem na tyle głupi, aby się interesować wszystkimi domami, w których bywałem na obiadach, broniłem ich w razie obmowy, nie robiłem o nich plotek, nie... Och! byłem dzieckiem. Kiedy córka przedstawiła baronowej położenie, ex-perła wykrzyknęła: „Moje biedne dzieci! kto mi będzie robił suknie? Więc nie będę mogła mieć już świeżych czepeczków ani przyjmować, ani bywać w świecie!” Po czym myślicie, że się poznaje miłość mężczyzny? — zagadnął nagle Bixiou — chodzi o to, czy Beaudenord był naprawdę zakochany w tej blondyneczce.

— Zaniedbuje interesy — odparł Couture.

— Zmienia koszulę trzy razy dziennie — rzekł Finot.

— Uprzednia kwestia? — rzekł Blondet — czy człowiek inteligentny może i czy powinien być zakochany?

— Moi panowie — odparł Bixiou z miną sentymentalną — strzeżmy się jak jadawitej bestii człowieka, który, czując rodzącą się miłość do jakiejś kobiety, strzela palcami lub rzuca cygaro mówiąc: „Ba! są jeszcze inne na świecie!”. Ale rząd może użyć tego obywatela w ministerium spraw zagranicznych. Blondet, zwracam twoją uwagę, że ów Godfryd porzucił dyplomację.

— A więc pogrążył się: miłość jest to jedyna szansa, jaką mają głupcy, aby urósł we własnych oczach — odparł Blondet.

— Blondet, Blondet, czemu my jesteśmy tacy biedni? — wykrzyknął Bixiou.

— A czemu Finot jest bogaty? — odparł Blondet — powiem ci, mój synu, rozumiemy się. Patrz, Finot nalewa mi pić, tak jak gdybym mu przyniósł naręcz drzewa. Ale z końcem obiadu trzeba doić. No więc?

— Rzekłeś; pograżony Godfryd zawarł ścisłą znajomość z dużą Malwiną, z lekkomyślną baronową i z małą tancerką. Stał się najpilniejszym i najzarliwszym *cavaliere servente*. Resztki trupiego bogactwa nie przstraszyły go. A! ba! przyzwyczaił się stopniowo do tych łachów. Nigdy zielony lampas z białą wypustką w salonie nie wydał się temu chłopcu ani spłowiały, ani stary, ani zaplamiony, ani domagający się zmiany. Firanki, stół do herbaty, chińszczyzna na kominku, świecznik rokoko, wytarty dywan niby-kaszmirowy, fortepian, serwis w kwiatki, serwetki z hiszpańską frędzlą, a niemniej hiszpańskimi dziurami, salon perski poprzedzający błękitną sypialnię baronowej, wraz z jego akcesoriami, wszystko było mu drogie i święte. Jedyne kobiety głupie, których piękność błyszczy w sposób zostawiający w cieniu inteligencję, serce, duszę, zdolne są doprowadzić do podobnych zadrzeń, bo kobieta inteligentna nigdy nie nadużywa swoich przewag, trzeba być małą i głupią, aby zawładnąć mężczyzną. Beaudenord — sam mi to mówił — kochał starego i uroczyście Wirtha! Ten stary hultaj miał dla swego przyszłego pana cześć wierzącego katolika dla eucharystii. Ten godny Wirth to był Gaspard niemiecki, jeden z owych piwoszów, którzy otulają swój spryt dobroduszością, jak w średnich wiekach kardynał chował sztylet w rękawie. Widząc w Godfrydzie męża dla Izaury, Wirth spowijał go w arabeski i cyrkumlokucje alzackiej dobroduszości, lepu najchwytniejszego ze wszystkich lepkich substancji. Pani d'Aldrigger była głęboko *improper*, uważała miłość za rzecz najnaturalniejszą w świecie. Kiedy Izaura i Malwina wychodziły razem i szły do Tuileries albo na Pola Elizejskie, gdzie miały spotkać znajomą młodzież, matka mówiła: „Bawcie się dobrze, moje drogie dzieci!”. Przyjaciele ich, jedyń, którzy mogli spotwarzać obie siostry, bronili ich; nadzwyczajna swoboda bowiem, jaką każdy miał w salonie Aldriggerów, czyniła zeń jedyne miejsce w Paryżu. Za miliony niełatwo znalazłoby się podobne wieczory, gdzie mówiło się dowcipnie o wszystkim, gdzie nie obowiązywały stroje, gdzie każdy mógł się sam zaprosić na kolację. Siostry pisywały, do kogo im się spodobało, odbierały spokojnie listy w obecności matki, przy czym nigdy baronowej nie przyszło do głowy zapytać, o co chodzi. Ta rozkoszna matka dawała córkom wszystkie korzyści swego egoizmu, uczucia najmilszego pod słońcem, o tyle że egoiści, nie chcąc, aby ich krępowano, nie krępują nikogo i nie zatruwają swoim bliskim życia cierniami rad, kolcami przestróg ani szpileczkami, na jakie pozwala sobie zbyttnia przyjaźń, pragnąca wszystko wiedzieć, wszystko kontrolować...

— Święte słowa — rzekł Blondet. — Ale, mój drogi, ty nie opowiadasz, ty *haftujesz*...

— Blondet, gdybyś nie był pijany, martwiłbyś mnie! Z nas czterech, to jedyny człowiek naprawdę literat! Na jego intencję robię wam ten zaszczyt, że was raczę jak smakoszów, sączę moją historię kropelkami i on mnie krytykuje! Moi przyjaciele, największą oznaką jałowości umysłowej jest natłoczenie faktów. Wspaniała komedia o *Mizantropie* dowodzi, że Sztuka lubi wznosić pałac na ostrzu szpilki. To różdżka czarnoksiężka, która może uczynić z Sahary *Interlacken* w dziesięć sekund (tyle ile trzeba, aby wypróżnić tę szklankę). Czy chcecie, aby moje opowiadanie szło jak kula armatnia, jak biuletyn naczelnego wodza? Rozmawiamy, bawimy się, a ten dziennikarz, nienawidzący książek na czczo, chce, kiedy jest pijany, abym ja wtłaczał memu językowi głupie narowy książki — Bixiou udął że płacze. — Biada francuskiej wyobraźni, jeśli zechcecie stępić igielki jej

zartu! *Dies irae*. Oplaczymy Kandyda, a niech żyje *Krytyka czystego rozumu, symbolika* i systemy w pięciu grubych tomach drukowane przez Niemców, którzy nie wiedzieli, że one istniały w Paryżu od roku 1750 w paru dowcipnych słówkach, diamentach naszej rasowej inteligencji. Blondet prowadzi kondukt własnego samobójstwa, on, który robi w swoim dzienniku *ostatnie słowa* wszystkich wielkich ludzi odumierających nas w milczeniu!

— Jedź dalej — rzekł Finot.

— Chciałem wam wytłumaczyć, na czym polega szczęście człowieka, który nie jest akcjonariuszem (uprzejmy ukłon w stronę Couture'a). I ot, czy nie widzicie teraz, za jaką cenę Godfryd kupił sobie szczęście najpełniejsze, o jakim może marzyć młody człowiek?... Zgłębiał Izaurę, aby być pewnym, że ona go rozumie!... Rzeczy, które się rozumieją wzajem, muszą być jednogatunkowe. Tych dwoje kochanków pisywało do siebie listy najgłupsze w świecie, wymieniając na pachnącym papierze modne słówka: *aniele! barfo eolska! z tobą byłbym zupełny! bije serce w mojej męskiej piersi! słaba kobieta! biedny ja!*, całą tandetę nowoczesnego serca. Godfryd zostawał w salonach ledwie dziesięć minut, rozmawiał z damami niedbale, wydał im się wówczas bardzo inteligentny. Był on z ludźmi, którzy nie mają innego dowcipu, prócz tego, w który się ich przystroi. Wreszcie osądźcie, jak był wzięty: Joby, konie, powozy zeszły na drugi plan w jego życiu. Czuł się szczęśliwy jedynie w starej berżerze<sup>13</sup>, naprzeciwko baronowej, przy zielonym marmurowym kominu, wpatrzony w Izaurę, popijając herbatę wraz z małym kółkiem przyjaciół, którzy przychodzili co wieczór między jedenastą a dwunastą na ulicę Joubert, gdzie można było zawsze grać w buliotkę bez obawy: zawsze tam wygrałem! Kiedy Izaura wysunęła swoją ładną nóżkę obutą w czarny atlasowy trzewiczek i kiedy Godfryd napatrzył się długo tej nóżce, zostawał ostatni i mówił do Izaury: „Daj mi swój trzewiczek”... Izaura podnosiła nogę, stawiała ją na krześle, zdejmowała trzewiczek i podawała mu go patrząc nań tak... patrząc... słowem, rozumiecie! Godfryd odkrył w końcu wielką tajemnicę Malwiny. Kiedy du Tillet pukał do drzwi, żywy rumieniec, który barwił lica Malwiny, mówił: „Ferdynand!”. Patrząc na tego tygrysa na dwóch łapach, oczy biednej dziewczyny rozpałały się jak ogień od przeciągu; zdradzała niewymowną radość, kiedy Ferdynand pociągnął ją do konsolki albo do okna, aby z nią pogadać poufnie. Jakie to ładne i rzadkie, kobieta na tyle zakochana, aby się stać naiwną, pozwolić czytać w swym sercu! Mój Boże, to w Paryżu równie rzadkie jak śpiewający kwiat w Indiach. Mimo tej przyjaźni, zaczętej w dniu, w którym Aldriggerowie pojawili się u Nucingenów, Ferdynand nie ożenił się z Malwiną. Nasz drapieżny du Tillet nie okazał się zazdrosny o wytrwale zaloty Desroches'a, gdyż, aby spłacić swoją kancelarię posagiem, który wróżył nie mniej niż pięćdziesiąt tysięcy talarów, ten skórzany prawnik udawał miłość! Mimo iż głęboko upokorzona obojętnością du Tilleta, Malwina nadto go kochała, aby mu zamknąć drzwi. Ta dziewczyna była cała duszą, cała uczuciem, cała wylaniem; to duma ustępowała u niej miłości, to obrażona miłość pozwalała brać górę dumie. Obojętny i zimny przyjaciel nasz Ferdynand przyjmował tę czułość, wdychał ją ze spokojną rozkoszą tygrysa liżącego krew, która mu barwi paszczę; zachodził zbierać jej dowody, nie minęło dwa dni, aby się nie pokazał przy ulicy Joubert. Hultaj posiadał wówczas blisko milion osiemset tysięcy franków, kwestia majątku musiała być drobną w jego oczach, mimo to oparł się nie tylko Malwinie, ale i dwóm baronom, Nucingenowi i Rastignacowi, którzy obaj pędzili go siedemdziesiąt pięć mil dziennie, z czterema frankami napiwku, poczytliion naprzód, co koń wyskoczy, po labiryntach swej chytrłości. Godfryd nie mógł się wstrzymać od pomówienia z przyszłą szwagierką o niemądrej sytuacji, w jakiej ona tkwi między bankierem a adwokatem. „Chce mi pan mówić kazanie o Ferdynanda, dowiedzieć się tajemnicy istniejącej między nami, rzekła szczerze. Drogi Godfrydzie, nie poruszaj tego przedmiotu. Urodzenie Ferdynanda, jego przeszłość, jego majątek, nie grają tu żadnej roli, toteż uwierz w coś nadzwyczajnego”. Jednakże w kilka dni później Malwina wzięła Godfryda na stronę i rzekła: „Nie mam uczucia, aby Desroches był uczciwym człowiekiem (co to jest instynkt miłości!): rad by się ze mną ożenić, a zaleca się do córki pewnego kupca korzennego. Chciałabym wiedzieć, czy ja jestem tylko deską ratunku i czy małżeństwo jest dla niego kwestią pieniędzy”. Mimo swej przenikliwości, Desroches nie mógł przejrzeć du Tilleta i obawiał się, że on się ożeni z Malwiną. Zatem ten zuch zabezpieczył sobie odwrót, położenie jego było nie do

<sup>13</sup>berżerka a. berżera — niski i szeroki fotel z wyścielanym, pełnym oparciem i siedzeniem. [przypis edytorski]

zniesienia: zarabiał, po strąceniu wszystkich kosztów, ledwie na procent swego długu. Kobiety nie rozumieją nic tych rzeczy. Dla nich serce jest zawsze milionerem!

— Że jednak ani Desroches, ani du Tillet nie ożenili się z Malwiną — rzekł Finot — wytłumacz nam sekret Ferdynanda?

— Oto cały sekret — rzekł Bixiou. — Zasada ogólna: młoda osoba, która jeden raz dała swój trzewiczek, choćby go odmawiała przez dziesięć lat nie zostaje nigdy żoną tego, który...

— Głupstwo! — przerwał Blondet. — Kocha się także, ponieważ się kochało. Oto sekret: zasada ogólna, nie żęń się nigdy sierżantem, kiedy możesz zostać księciem Gdańska i marszałkiem Francji. Toteż widzicie, jaką partię zrobił du Tillet. Ożenił się z córką hrabiego de Granville<sup>14</sup>, jedna z najstarszych rodzin francuskiej magistratury.

— Matka Desroches'a miała przyjaciółkę — podjął Bixiou — żonę drogisty, który to drogista wycofał się z interesów z grubą forszą. Ci drogiści mają dzikie pomysły: aby dać swojej córce staranne wychowanie, umieścił ją w pensjonacie!... Ów Matifat spodziewał się dobrze wydać za mąż córkę dzięki dwustu tysiącom franków ciepłą gotóweczką, której nie było czuć drogerią.

— Matifat Floryny?

— No tak! i kolegi Lousteau<sup>15</sup>, słowem nasz! Ci Matifatowie, straceni wówczas dla nas, przenieśli się na ulicę Cherche-Midi, w dzielnicę najodleglejszą od ulicy des Lombards, gdzie zrobili majątek. Bywałem u tych Matifatów! W czasie moich galer ministerialnych, kiedy byłem zamknięty przez osiem godzin dziennie z dwudziestodwukaratowymi osłami, widziałem oryginałów, którzy mnie przekonali, że cień ma swoje chropawości i że największa płaskość może mieć kandy. Tak, drogi synu, jeden kołtun ma się do drugiego jak Rafael do Natoira. Pani Desroches matka przygotowywała na długą metę to małżeństwo, mimo olbrzymiej przeszkody, jaką stanowił niejaki Cochin, syn wspólnika Matifatów, młody urzędnik w ministerium finansów. W oczach państwa Matifat zawód adwokata przedstawiał, wedle ich wyrażania, gwarancję szczęścia kobiety. Desroches wszedł w plany matki, aby mieć zapewniony odwrót. Zachodził tedy do drogistów na ulicę Cherche-Midi. Aby wam uplastyczyć inny rodzaj szczęścia, trzeba by odmalować tę parę kupców, samca i samicę, cieszących się ogródkiem, pięknym parterowym mieszkaniem, zabawiających się przyglądaniem fontannie, cienkiej i długiej jak kłos, która działała ustawicznie i pstrykała z okrągłego kamiennego stolika w basenie o sześciu stopach średnicy. Wstawali o szóstej rano, aby zobaczyć, czy kwiaty w ogródku podrosły, beczynni a niepokojni, ubierający się po to aby się ubrać, nudzący się w teatrze, wciąż między Paryżem a Luzarches, gdzie mieli domek na wsi. Byłem tam raz na obiedzie. Słuchaj, Blondet, jednego dnia chcieli się mną popisać: wyróżnałem im historię od dziewiętej wieczór do północy, arabskie awantury! Właśnie wprowadzałem moją dwudziestą dziewiątą osobę (romanse felietonowe okradły mnie!), kiedy stary Matifat, który w charakterze pana domu trzymał się jeszcze, chrapnął jak inni, walcząc ze snem przez kilka minut. Nazajutrz wszyscy komplementowali zakończenie mojej historii. Sosjeta tych łyków to zazwyczaj państwo Cochin, młody Adolf Cochin, pani Desroches, młody Popinot, drogista na dorobku, który im znosił wiadomości z ulicy des Lombards (twój znajomy, Finot!). Pani Matifat, która miała słabość do Sztuki, kupowała litografię, litochromie, kolorowane ryminy, co było najtańszego. Pan Matifat zabawiał się badaniem nowych przedsięwzięć i ryzykowaniem niewielkich kapitałów dla emocji (Floryna wyleczyła go ze stylu *Regence*). Jedno słówko wystarczy, aby dać pojęcie o inteligencji Matifata. Poczciwina w ten sposób życzył dobrej nocy swoim bratanicom: „Idź spać, dziewczęta!”. Bał się, powiadał, dotknąć je, mówiąc do nich przez *wy*. Córka ich to była młoda osoba nieumiejąca się znaleźć, wyglądała na pannę służącą z dobrego domu, grała od siedmiu boleści jakąś sonatę, ładne angielskie pismo, ortografia, słowem, kwiat mieszczańskiej edukacji. Pilno jej było wyjść za mąż, aby opuścić dom rodzicielski, gdzie się nudziła jak oficer marynarki na służbie. Desroches czy młody Cochin, rejent czy gwardzista, fałszywy lord angielski, wszelki mąż był jej dobry. Ponieważ oczywistym było, że nie ma pojęcia o życiu, żał mi

<sup>14</sup>du Tillet ożenił się z córką hrabiego de Granville — [por.] *Córka Ewy*. [przypis tłumacza]

<sup>15</sup>kolega Lousteau — [por.] *Stracone Złudzenia*. [przypis tłumacza]

jej było, chciałem jej odsłonić jego tajemnice. Ba! Matifatowie wymówili mi dom: lyki i ja nigdy się nie zrozumiemy.

— Wyszła za generała Gouraud — rzekł Finot.

— W czterdzieści osiem godzin Godfryd de Beaudenord, ex-dyplomata, przejrzał Matifatów i ich czarną intrygę — ciągnął Bixiou. — Przypadkowo Rastignac znajdował się u lekkomyślnej baronowej, gwarząc przy kominku, gdy Godfryd składał swój raport Malwinie. Rastignac został do drugiej w nocy; i powiadają, że on jest egoista! Beaudenord wyszedł, skoro baronowa poszła spać. „Drogie dziecko” rzekł Rastignac do Malwiny ojcowskim i dobrodusznym tonem, kiedy zostali sami: „pamiętaj, że biedny chłopiec upadający ze snu pił herbatę, aby doczekać drugiej w nocy i móc ci powiedzieć uroczyście: »Idź za męża«. Nie wybredzaj, nie grzeb się w swoich uczuciach, nie myśl o nikczemnych rachubach ludzi, którzy są jedną nogą tu, a drugą u Matifata, nie zastanawiaj się nad niczym: idź za męża! Dla młodej panny wyjść za męża to znaczy nałożyć mężczyźnie zobowiązanie, że jej stworzy życie, szczęśliwe lub mniej szczęśliwe, ale w którym kwestia materialna jest zapewniona. Znam świat: młode dziewczyny, mamusie i babcie, grają wszystkie komedię, mydląc oczy uczuciem, gdy chodzi o małżeństwo. Nikt nie myśli o niczym innym jak tylko o partii. Kiedy córka dobrze wyszła za męża, matka mówi, że zrobiła świetny interes”. I Rastignac rozwinął jej swoją teorię małżeństwa, które wedle niego jest stowarzyszeniem handlowym stworzonym po to, aby dźwigać życie. „Nie pytam cię o twój sekret, rzekł w końcu do Malwiny, znam go. Mężczyźni wszystko sobie mówią między sobą, tak jak i wy, kiedy się znajdziecie w swoim pokoiku. Otóż, moja ostatnia rada jest: »Idź za męża«. Jeżeli nie usłuchasz, pamiętaj, że ja cię tu błagałem dziś wieczór, abys wyszła za męża!”

Rastignac mówił z akcentem, który nakazywał już nie uwagę, ale poważne zastanowienie. Naleganie jego mogło dać Malwinie do myślenia. Słowa jego tak głęboko zapadły w jej inteligencję, gdzie właśnie Rastignac chciał trafić, że jeszcze nazajutrz myślała o tym, nadaremnie szukając przyczyn tej przestrogi.

— Nie widzę w tych wszystkich szmermelach, które nam puszczasz, nic, co by miało związek z początkami fortuny Rastignaka. Bierzesz nas za Matifatów pomnożonych przez sześć butelek szampana — wykrzyknął Couture.

— Już jesteśmy — wykrzyknął Bixiou. — Szliście z biegiem wszystkich strumyczków, które stworzyły owych czterdzieści tysięcy franków renty, dziś budzących tyle zazdrości! Rastignac trzymał w tej chwili nitkę wszystkich tych egzystencji.

— Desroches, Matifat, Beaudenord, d'Aldriggerowie, d'Aiglemont.

— I stu innych!... — rzekł Bixiou.

— No! A to jak? — wykrzyknął Finot. — Wiem wiele rzeczy, a nie widzę klucza tej zagadki.

— Blondet opowiedział wam z grubsza pierwsze dwie likwidacje Nucingena, oto trzecia ze szczegółami — podjął Bixiou. — Od czasu pokoju w roku 1815 Nucingen rozumiał to, co my rozumiemy dopiero dziś: że pieniądź jest potęgą jedynie wówczas, kiedy się znajduje w ogromnym skupieniu. Zazdrościł tajemnie Rotszyldom. Miał pięć milionów, chciał mieć dziesięć! Z dziesięcioma milionami wiedział, że potrafi zrobić trzydzieści, a z pięcioma miałby tylko piętnaście. Postanowił tedy przeprowadzić trzecią likwidację! Ten wielki człowiek umyślił spłacić wierzycieli fikcyjnymi walorami, zatrzymując ich pieniądze. Na giełdzie tego rodzaju koncepcja nie przedstawia się w tak matematycznej formie. Podobna likwidacja polega na tym, aby dać za dukata ciasteczko dużym dzieciom, które, podobnie jak dawniej małe dzieci, woła ciasteczko od dukata, nie wiedząc, że za dukata mogłyby mieć dwieście ciasteczek.

— Co ty tam wyplatasz, Bixiou — wykrzyknął Couture — ależ nie ma uczciwszej rzeczy pod słońcem; nie ma dziś tygodnia, aby nie częstowano publiczności ciasteczkami, żądając w zamian dukata. Ale czy kto zmusza publiczność, aby dawała pieniądze? Czy nie może się oświecić?

— Wolalbyś, aby istniał przymus brania akcji? — rzekł Blondet.

— Nie — wtrącił Finot — gdzieżby był wówczas talent?

— Nieźle, jak na Finota — rzekł Bixiou.

— Gdzie on ściągnął ten koncept? — spytał Couture.

— Słowem — podjął Bixiou — Nucingen miał dwa razy to szczęście, że dał niechcący ciasteczka, które okazały się warte więcej niż ich cena. To nieszczęśliwe szczęście gryzł go. Podobne szczęście może zabić człowieka. Czekał od dziesięciu lat sposobności, aby się już nie pomylić, aby stworzyć walory, które by się zdawały coś warte, a które...

— Ależ — rzekł Couture — przy takim komentowaniu spraw finansowych żaden handel nie byłby możliwy. Niejeden uczciwy bankier nakłonił, z aprobatą uczciwego rządu, najsprytniejszych giełdźarzy, aby wzięli papiery, które w swoim czasie miały spaść na łeb. Widzieliście lepsze rzeczy! Czyż nie wypuszczono, wciąż z wiedzą i poparciem rządu, walorów dla spłacenia procentów od pewnych akcji, aby utrzymać ich kurs i móc się ich pozbyć? Te operacje są mniej lub więcej analogiczne z likwidacją *à la* Nucingen.

— Na małą skalę — rzekł Blondet — interes taki może się wydać dziwny; ale na wielką skalę, to są wysokie finanse. Są akty samowoli, które są zbrodnią między jednostkami, a które stają się niczym, kiedy się rozciągają na jakąkolwiek zbiorowość, tak jak kropla kwasu pruskiego staje się niewinna w wiadrze wody. Zabijesz człowieka, zgilotynują cię. Ale w imię jakichkolwiek przekonań zabij pięciuset ludzi, uszanują zbrodnię polityczną. Weźmiesz pięć tysięcy franków z mojego biurka, pójdziesz na galery. Ale z pieprzykiem nadziei zysku, zręcznie wsuniętym w paszczę tysiąca giełdźarzy, zmusz ich do wzięcia papierów jakiejś tam zbankrutowanej republiki lub monarchii, wypuszczonych, jak mówi Couture, po to, aby zapłacić procenty od tych samych papierów, nikt nie może się skarżyć. Oto istotne zasady złotego wieku, w którym żyjemy!

— Puszczanie w ruch tak wielkiej maszyny — podjął Bixiou — wymagało wielkiej ilości marionetek. Przede wszystkim firma Nucingen świadomie i rozmyślnie wpakowała swoich pięć milionów w jakiś interes w Ameryce, którego zyski były obliczone w ten sposób, aby wpłynęły za późno. Wypruła się z rozmysłem. Wszelka likwidacja musi być umotywowana. Firma posiadała w prywatnych kapitałach i w wypuszczonych walorach około sześciu milionów. Między prywatnymi kapitałami znajdowało się trzysta tysięcy baronowej d'Aldrigger, czterysta tysięcy Beaudenorda, milion d'Aiglemontów, trzysta tysięcy Matifatów, pół miliona Karola Grandet, męża panny d'Aubrion, etc. Stwarzając sam akcyjne przedsiębiorstwo, którego akcjami zamierzał spłacić wierzycieli w drodze mniej lub więcej sprytnych manipulacji, Nucingen mógłby się wydać podejrzany, wziął się tedy zręcznie do rzeczy: kazał stworzyć komu innemu... tę maszynę przeznaczoną na to, aby odegrała rolę Missisipi z systemu Lawa. Właściwością Nucingena jest, iż zaprzęga najsprytniejszych ludzi z całej giełdy do swoich planów, nie uświadamiając ich. Nucingen puścił tedy w obecności du Tilleta piramidalną, wspaniałą myśl: stworzyć przedsiębiorstwo akcyjne, skupiając kapitał dość duży, aby móc dawać akcjonariuszom duże dywidendy w pierwszym okresie. Kombinacja ta poczęta pierwszy raz w chwili, gdy kapitały dudków były w obfitości, musiała wywołać wyżkę na akcje, a tym samym zysk dla bankiera, który je wypuszcza. Pamiętajcie, że to się dzieje w roku 1826. Mimo że uderzony tą myślą, równie płodną jak bystrą, du Tillet pomyślał oczywiście, iż jeśli przedsięwzięcie się nie uda, będą z tego nieprzyjemności. Toteż poddał myśl, aby wysunąć na front jakiegoś widomego dyrektora tej maszyny. Znacnie dziś sekret banku Claparona<sup>16</sup>, założonego przez du Tilleta, jeden z jego najpiękniejszych wynalazków!...

— Tak — rzekł Blondet — odpowiedzialny wydawca finansowy, agent prowokator, kozioł ofiarny; ale dziś jesteśmy sprytniejsi, piszemy: Zwracać się do *administracji takiej a takiej*... ulica taka, numer taki, gdzie publiczność zastaje urzędników w zielonych kaszkietach, powabnych jak szpicle.

— Nucingen poparł dom Karola Claparon całym swoim kredytem — podjął Bixiou. — Można było rzucić bez obawy na rynek milion papierów Claparona. Du Tillet zaproponował tedy, aby wysunąć na front bank Claparona. Przyjęto. W roku 1825 akcjonariusze nie byli zepsuci względami finansistów. *Kapitał obrotowy* był nieznanym! Dyrektorzy nie zobowiązali się nie wypuszczać swoich akcji uprzywilejowanych, nie deponowali nic w banku państwa, nie gwarantowali nic. Nie raczono wyjaśniać interesu, oznajmiano po prostu akcjonariuszom, że łaskawie nie żąda się od nich więcej niż tysiąc, niż pięćset, a nawet dwieście pięćdziesiąt franków! Nie ogłaszano, że to doświadczenie *in aere publico* będzie trwało tylko siedem lat, pięć lat lub nawet trzy lata i że tym samym wynik niedłu-

<sup>16</sup>sekret banku Claparona — [por.] *Historia wielkości i upadku Cesara Birotteau*. [przypis tłumacza]

go się okaże. To było dziecięctwo sztuki! Nie wspomagano się nawet tymi olbrzymimi anonsami, które pobudzają wyobraźnię, żądając pieniędzy od wszystkich...

— To się zdarza, kiedy nikt ich nie chce dać — rzekł Couture.

— Wreszcie, w tego rodzaju przedsięwzięciach nie istniała konkurencja — odparł Bixiou. — Fabrykanci masy papierowej, drukowanych perkalików, przerabiacze cynku, teatry, dzienniki, nie rzucały się jak sfera psów na ledwie zipiących akcjonariuszów. Piękne interesy akcyjne, jak powiada Couture, tak naiwnie ogłaszane, wspierane orzeczeniami biegłych (książęta nauki!) załatwiała się wstydliwie w ciszy i mroku giełdy. Pijawki giełdowe wykonywały, w finansowej transkrypcji, arię o potwarzy z *Cyrulika Sewilskiego*. Intonowali *piano piano*, zaczynając od lekkich plotek o doskonałości interesu, szeptanych z ucha do ucha. Operowali pacjenta, akcjonariusza, jedynie w domu, na giełdzie, ewentualnie w salonie, owym tak zręcznie stworzonym rozgłosem, który rósł aż do *tutti* czterocyfrowego udziału...

— Ale, mimo że jesteśmy tu między sobą i możemy wszystko mówić, ja i tak wracam do mojego — rzekł Couture.

— Pan jest złotnikiem, panie Josse<sup>17</sup>? — rzekł Finot.

— Finot zawsze pozostanie klasykiem, konstytucjonalistą i piernikiem — rzekł Blondet.

— Tak, jestem złotnikiem — odparł Couture — za którego skazano niedawno Ceriseta w policji poprawczej. Utrzymuję, że nowa metoda jest nieskończenie mniej zdradziecka, uczciwsza, mniej mordercza niż dawna. Reklama pozwala na zastanowienie się i zbadanie. Jeżeli jakiś akcjonariusz *wdeźnie*, przyszedł z dobrej woli, nie sprzedano mu kota w worku. Przemysł...

— Hurra! mamy Przemysł! — wykrzyknął Bixiou.

— Przemysł na tym zyskuje — rzekł Couture, nie zwracając uwagi na przerywania. — Wszelki rząd, który się miesza do handlu i nie zostawia mu swobody, popełnia kosztowne głupstwo: dochodzi do *cen maksymalnych* lub do monopolu. Wedle mnie nic nie ma zgodniejszego z zasadami wolności handlu niż towarzystwa akcyjne! Mieszać się do nich znaczy chcieć odpowiadać za kapitał i zyski, co jest głupstwem! W każdym interesie zyski są w proporcji do ryzyka! Co obchodzi państwo, w jaki sposób uzyskuje się krążenie pieniądza, byle był w ciągłym ruchu! Co znaczy, kto jest bogaty, kto biedny, byle była zawsze ta sama ilość bogatych płacących podatki? Zresztą, oto już dwadzieścia lat, jak towarzystwa akcyjne, spółki komandytowe, premie wszelkiego rodzaju prosperują w kraju najbardziej handlowym pod słońcem, w Anglii, gdzie wszystko się dyskutuje, gdzie Izby wysiadują tysiąc lub tysiąc dwieście praw na jednej sesji i gdzie nigdy żaden członek parlamentu nie podniósł się, aby przemawiać przeciw metodzie...

— Leczniczej dla pełnych kas. Kuracja owocowa: figa.

— Policzmy? — rzekł Couture rozplomieniony. — Masz dziesięć tysięcy franków i bierzesz dziesięć akcji, każda po tysiąc, w dziesięciu rozmaitych przedsiębiorstwach. Okradają cię dziewięć razy... (Tak nie jest! publiczność jest sprytniejsza niż ktokolwiek w świecie! Ale przypuśćmy) ...jeden jedyny interes udaje się! (Przypadkiem! — Zgoda! — Ktoś musiał się pomylić! — Dobrze, róbcie kawały!) Otóż, *poniter* na tyle mądry, aby tak podzielić swoje stawki, trafia na wspaniałą lokatę, jak ci, którzy wzięli akcje kopalni Worszyńskich. Panowie, przynajmy między sobą, że ci, co krzyczą, to hipokryci, wściekli, że nie mają ani pomysłu do jakiegoś interesu, ani środków do puszczania go w ruch, ani zręczności do wyzyskania go. Niedługo będziemy czekali na dowód. Maluczko, a ujrzycie arystokrację, dwór, ministeriałów rzucających się zwartą kolumną w Spekulację, wysuwających palce drapieńsze i pomysły bardziej krętaćkie od naszych, a bez naszego talentu. Co za głowy trzeba, aby uruchomić interes w epoce, w której chciwość akcjonariusza równa jest chciwości wynalazcy. Co za potężnym magnetyzerem musi być człowiek, który stwarza takiego Claparona, który znajduje nowe sposoby? Czy wiecie, jaki morał tego wszystkiego? Nasza epoka nie jest więcej warta od nas! Żyjemy w epoce, w której nikt nie troszczy się o wartość rzeczy, jeśli można na niej zarobić, odprzedając ją sąsiadowi; a odprzedaje się ją sąsiadowi, ponieważ chciwość akcjonariusza, który wierzy w zysk, równa jest chciwości założyciela, który go ofiarowuje!

<sup>17</sup>Pan jest złotnikiem, panie Josse? — Znany cytat z Moliera (*Miłość lekarzem*). [przypis tłumacza]

— Wspaniały, wspaniały jest Couture! — rzekł Bixiou do Blondeta — on zażąda, aby mu stawiano pomniki jako dobroczyńcy ludzkości.

— Trzeba by go doprowadzić do konkluzji, że pieniądze głupich są, z boskiego prawa, ojcowizną ludzi z talentem — rzekł Blondet.

— Panowie — odparł Couture — śmiejmy się tutaj, aby sobie wynagrodzić powagę, jaką zachowamy gdzie indziej, kiedy będziemy słuchali czcigodnych głupstw uświęconych przez klecone na kolanie prawa.

— Ma rację. Co za czas, panowie — rzekł Blondet — epoka, w której, skoro tylko błysnie ogień inteligencji, gaszą go natychmiast, stosując okolicznościowe prawo. Prawodawcy, prawie wszystko przybysze z prowincji, gdzie poznawali świat z dzienników, dławią wówczas ogień w machinie. Kiedy maszyna trzaśnie, wówczas nastaje płacz i zgrzytanie zębów! Epoka, w której sporządza się jedynie prawa fiskalne i karne! Chcacie usłyszeć wielkie słowo tego, co się dzieje? *Nie ma już religii w państwie!*

— Ha! — rzekł Bixiou — brawo, Blondet! położyłeś palec na ranie Francji, na fiskalizmie, który odjął naszemu krajowi więcej zdobyczy niż wszystkie nieszczęścia wojny. W ministerium, gdzie przebyłem siedem lat kaźni, skuty z kołtunami, był jeden urzędnik, człowiek z głową, który postanowił odmienić cały system finansów... ha! ha! ładnieśmy go wysiudali. Francja byłaby zbyt szczęśliwa, zaczęłaby się znów bawić w zdobywanie Europy, działaliśmy tedy w sprawie pokoju narodów: zabiłem tego Rabourdina karykaturą!

— Kiedy powiadam *religia*, nie rozumiem pod tym kazania wiejskiego proboszcza, rozumiem to słowo jako polityk — podjął Blondet.

— Wytłumacz się — rzekł Finot.

— Chętnie — odparł Blondet. — Wiele mówiono o sprawie lyońskiej, o republice bombardowanej na ulicach, ale nikt nie powiedział prawdy. Republika chwyciła się rozruchów, jak powstaniec chwytą strzelbę. Istotna prawda, którą wam powiem, jest zabawna i głęboka. Handel Lyonu, jest to handel bez duszy; nie wykona ani łokcia jedwabiu inaczej niż na zamówienie i z zabezpieczeniem zapłaty. Kiedy zamówienia się urwą, robotnik umiera z głodu, zarabia ledwie tyle, aby wyżyć ze swej pracy, galernicy szczęśliwsi są od niego. Po rewolucji lipcowej nędza doszła do tego, że *Kanuty* wywiesiły sztandar: *Chleba lub śmierć!* Jedną z owych proklamacji, które rząd powinien by przestudiować, a spowodowała ją drożyzna życia w Lyonie. Lyon chce budować teatry i stać się stolicą, stąd szalone akcyny. Republikanie zwęszyli ten bunt z powodu chleba i zorganizowali *Kanutów*, którzy się bili w podwójnym charakterze. Lyon miał swoje trzy dni, ale wszystko wróciło do porządku, a Kanut do swojej nory. Kanut, uczciwy aż dotąd, oddający w materii jedwab, który mu wazono w paczkach, posłał uczciwość w diabły, widząc, że fabrykanci go wyzyskują, i zaczął smarować palce oliwą: oddaje wagę za wagę, ale sprzedaje jedwab obciążony oliwą, i jedwabny handel francuski zapaskudził się *materią thuszczoną*, co mogło spowodować zgubę Lyonu i całej gałęzi francuskiego przemysłu. Fabrykanci i rząd, zamiast usunąć przyczynę złego, zrobili jak pewni lekarze, stłumili zło za pomocą gwałtownych środków. Trzeba było posłać do Lyonu człowieka z głową, jednego z owych ludzi, których mieni się *niemoralnymi*, jakiegoś księdza Terray; ale widziano tylko stronę wojskową! Rozruchy wprowadziły tedy towar neapolitański po czterdzieści su łokieć. Te jedwabie neapolitańskie sprzedają się dzisiaj — i jak! — a fabrykanci wynaleźli zapewne jakiś sposób kontroli. Ten system fabrykacji na krótką metę musiał wzrósć w kraju, gdzie taki Ryszard Lenoir, jeden z największych obywateli, jakich miała Francja, zrujnował się na tym, iż dawał pracę sześciu tysiącom robotników bez zamówienia, żywił ich i trafił na ministrów dość tępych, aby mu dać upaść w rewolucji, jaką rok 1814 wywołał w cenie tkanin. Oto jedyny wypadek, w którym kupiec wart jest pomnika. I ot, ten człowiek jest dzisiaj przedmiotem subskrypcji bez subskrybujących, podczas gdy dano milion dzieciom generała Foy. Lyon jest konsekwentny: zna Francję, wyzuta jest z poczucia religijnego. Historia Ryszarda Lenoir to jeden z owych błędów, o których Fouché mawiał, że gorsze są od zbrodni.

— Jeżeli w sposobie, w jaki przedstawiamy interes — podjął Couture, wracając do punktu, w którym mu przerwano — jest odcień szarlatanerii, słowo, które stało się hańbiące, coś pośredniego między uczciwym a nieuczciwym, bo pytam się, gdzie się zaczyna, gdzie się kończy szarlataneria, co to jest szarlataneria? Powiedzcie mi z łaski swojej, kto nie jest szarlatanem? No? trochę dobrej wiary, najrzadszej ingrediencji społecznej?



Handel, który by polegał na tym, aby chodzić w nocy po to, co się sprzedaje w dzień, byłby nonsensem. Lada handlarz zapalek ma instynkt gromadzenia. Skupić towar, oto myśl sklepikarza z ulicy Saint-Denis, *rzekomo* najnotliwszego, tak jak spekulanta *rzekomo* najbezwstydniejszego. Kiedy magazyny są pełne, trzeba sprzedać. Aby sprzedać, trzeba podgrzać klienta, stąd szyld w średnich wiekach, a dziś prospekt! Między przywoływaniem klientów a zmuszaniem ich, aby weszli, aby kupowali, nie widzę różnicy ani na włos! Może się zdarzyć, musi się zdarzyć, zdarza się często, że kupcom dostanie się towar zbrakowany, bo sprzedający oszukuje bez ustanku kupującego. I cóż, zapytajcie najuczciwszych ludzi w Paryżu, najszanowniejszych kupców?... wszyscy wam opowiedzą z tryumfem sztuczki, jakie wynaleźli, aby się pozbyć towaru, który im sprzedano w złym stanie. Słynna firma Minard zaczęła od tego rodzaju sprzedaży. Ulica Saint-Denis sprzedaje wam tylko suknie z tłuszczonego jedwabiu, nie może inaczej. Najuczciwszy kupiec powie wam z najnotliwszą miną zdanie mieszczące w sobie najbezwstydniejszą nieuczciwość: *Człowiek radzi sobie, jak może*. Blondet przedstawił wam zajścia lyońskie w ich przyczynach i skutkach, ja zilustruję moją teorię anegdotą. Pewien robotnik wełniany, ambitny i przywalony dziećmi przez nazbyt kochaną żonę, uwierzył w Republikę. Ten zuch kupuje czerwoną wełnę i fabrykuje owe trykotowe czapeczki, które mogliście oglądać na głowach wszystkich uliczników paryskich, dowiecie się zaraz czemu. Republika jest pobita. Po historii w Saint-Merri czapeczki były skazane na marynatę. Kiedy robotnik znajdzie się w domu z żoną, dziećmi i dziesięcioma tysiącami czerwonych wełnianych czapek, których nie chce żaden kapelusznik, przechodzi mu przez głowę tyleż myśli, ile ich może przejść bankierowi mającemu dziesięć tysięcy wątpliwych akcji do ulokowania. Wiecie, co zrobił robotnik, ten Law podmiejski, ten Nucingen czapek? Poszedł pogadać z dandysem szynkownianym, jednym z owych cwaniaków, będących rozpaczą policji na balikach podmiejskich. Poprosił go, aby odegrał rolę amerykańskiego kapitana okrętu, skupującego wybrakowany towar dla kolonii i aby zażądał dziesięciu tysięcy czerwonych wełnianych czapek u bogatego kapelusznika, który miał je jeszcze na wystawie. Kapelusznik zwęszył interes z Ameryką, pędzi do robotnika i chwyta za gotówkę czapek. Rozumiecie: ani śladu kapitana amerykańskiego, ale za to dużo czapek. Kwestionować wolność handlu z przyczyny takich psikusów to tyle, co kwestionować sądy pod pozorem, że są zbrodnie, które uchodzą kary, lub obwiniać społeczeństwo, że jest źle urządzone z przyczyny nieszczęść, które wydaje! Zestawcie czapeczki i ulicę Saint-Denis z akcjami i giełdą, i wyciągnijcie wniosek!

— Couture, zasłużyłeś na wieniec! — rzekł Blondet, kładąc mu zwiniętą serwetę na głowę. — Idę dalej, panowie. Jeżeli jest błąd w obecnej teorii, czyja wina? Prawa! Prawa wziętego jako całość, prawodawstwa! Owych powiatowych wielkich ludzi, których prowincja nam nasyla, nadzianych pojęciami moralnymi, pojęciami nieodzownymi w życiu, o ile ktoś nie chce mieć do czynienia z sądem, ale głupimi z chwilą, gdy bronią człowiekowi wzniesić się na wyżyny, na których musi się znajdować prawodawca. Przez to, że prawa bronią namiętnościom takiego lub innego rynku (gra, loteria, prostytutka, wszystko, co chcecie), nie wytepią nigdy namiętności. Zabić namiętności znaczyłoby zabić społeczeństwo, które, o ile ich nie rodzi, to w każdym razie je rozwija. Skoro wy tamujecie waszymi zakazami pasję gry, która drzemie we wszystkich sercach, u młodej dziewczyny, u prowincjała, jak u dyplomaty, bo wszyscy pragną majątku *gratis*, gra przejawia się natychmiast w innej sferze. Kasujecie niedorzecznie loterię, kucharki i tak okradają swoich państwa, niosą swój łup do kasy oszczędności, a stawka ich wynosi dwieście pięćdziesiąt franków zamiast dwóch franków, ponieważ akcje przemysłowe, udziały, stają się loterią, grą bez zielonego stolika, ale z niewidzialnymi grabkami i oszukańczą szansą. Domy gry zamknięto, loteria już nie istnieje. Francja jest o wiele moralniejsza, krzyczą głupcy, tak jakby skasowali *poniterów!* Gra idzie dalej! Tylko że zysk nie przypada już państwu, które podatek płacony z przyjemnością zastąpiło podatkiem uciążliwym, nie zmniejszając samobójstw, bo nie gracz ginie, ale jego ofiara! Nie mówię już o kapitałach cudzoziemskich straconych dla Francji, ani o loterii frankfurckiej, za której kolportaż Konwent uchwalił karę śmierci, a trudnili się nim prokuratorzy-syndycy! Oto owoc cięłej filantropii naszych prawodawców. Popieranie kas oszczędności to ciężkie głupstwo polityczne. Przypuśćcie jakikolwiek alarm, a rząd stworzył *ogonek pieniężny*, jak za rewolucji stworzono *ogonek chlebowy*. Ile kas, tyle rozruchów. Jeżeli gdzieś na ulicy trzech uliczników wywiesi

jedną chorągiew, mamy rewolucję. Ale to niebezpieczeństwo, mimo iż wielkie, wydaje mi się mniejsze jeszcze niż to, które płynie z demoralizacji ludu. Kasa oszczędności to zaszczepienie przywar rodzących się z interesu ludziom, których ani wychowanie, ani rozum nie powstrzymują w ich skrycie zbrodniczych kombinacjach. I oto skutki filantropii. Wielki polityk powinien być abstrakcyjnym zbrodniarzem, inaczej narody źle są prowadzone. Polityk uczciwy człowiek, to maszyna parowa, która by czuła, albo pilot który by gruchał miłośnie, trzymając ster: statek zatonię. Prezydent ministrów, który zgarnie sto milionów, czyniąc Francję wielką i szczęśliwą, czy nie jest lepszy od ministra pochowanego kosztem państwa, który zrujnował swój kraj? Między Richelieu, Mazarinem, Potemkinem, z których każdy miał w danej epoce trzysta milionów majątku, a cnotliwym Robertem Lindet, który nie umiał wyzyskać ani asygnat, ani dóbr narodowych, lub cnotliwymi niedołączkami, którzy zgubili Ludwika XVI, czybyście się wahali? Jedź dalej, Bixiou.

— Nie będę wam tłumaczył — podjął Bixiou — typu przedsiębiorstwa, jakie wymyślił geniusz Nucingena, to byłoby tym niewłaściwsze, że ono jeszcze istnieje, akcje jego są notowane na giełdzie; kombinacje były tak realne, przedmiot tak żywotny, że akcje oznaczone wedle kapitału zakładowego na tysiąc franków, zatwierdzone patentem królewskim, spadły do trzystu franków, podniosły się do siedmiuset i dojdą do *pari*, przebywszy burze lat 27, 30 i 32. Przesilenie finansowe roku 1827 zachwiało je, rewolucja lipcowa je zwała, ale interes ma zdrowe kości. (Nucingen nie umiałby wymyślić złego interesu). Wreszcie, ponieważ kilka pierwszorzędnych banków brało w tym udział, byłoby nieparlamentarnie wchodzić w szczegóły. Kapitał nominalny wynosił dziesięć milionów, kapitał rzeczywisty siedem, trzy miliony przypadły założycielom i bankierom zajmującym się emisją. Wszystko obliczono tak, aby w pierwszym półroczu akcja dała zysku dwieście franków, dzięki wypłacie fałszywej dywidendy. Zatem dwadzieścia od sta na dziesięciu milionach. Procent du Tilleta wyniósł pięćset tysięcy franków. W słowniku finansowym to się nazywa *lukier!* Ze swoich milionów, sporządzonych z ryzy różowego papieru przy pomocy płyty litograficznej, Nucingen zamierzył zrobić śliczne akcyjki do ulokowania, szacownie przechowane w jego gabinecie. Akcje realne miały posłużyć na uruchomienie interesu, kupienie wspaniałego pałacu i rozpoczęcie operacji. Nucingen miał jeszcze akcje nie wiem już w jakich kopalniach srebronośnego ołowiu, w kopalniach węgla i w dwóch kanałach, akcje uprzywilejowane przyznane za wprowadzenie na scenę tych czterech przedsiębiorstw w pełnym ruchu, akcje stojące świetnie, poszukiwane dzięki dywidendzie czerpanej z kapitału. Nucingen mógł liczyć na *azio*<sup>18</sup>, gdyby akcje poszły w górę, ale baron nie brał tego w rachubę, zostawił je na przynętę, aby zwabić rybki! Skupił tedy swoje walory, tak jak Napoleon skupiał swoich żołnierzy, aby zlikwidować w czasie przesilenia, które się rysowało na horyzoncie i które wstrząsnęło w latach 26 i 27 rynkami Europy. Gdyby miał swego księcia Wagram, byłby mógł powiedzieć tak jak Napoleon z wyżyn Santon: „Uważaj dobrze na giełdę tego dnia, o tej godzinie, będą rozlane kapitały!”. Ale komu mógł się zwierzyć? Du Tillet nie domyślał się swego mimowolnego współnictwa. Dwie pierwsze likwidacje wykazały potężnemu baronowi konieczność pozyskania sobie człowieka, który by mu służył za tłok naciskający wierzyciela. Nucingen nie miał siostrzeńca, bał się wziąć powiernika, trzeba mu było człowieka oddanego, Claparona inteligentnego, z dobrymi manierami, prawdziwego dyplomate, człowieka godnego firmy Nucingen. Podobne stosunki nie tworzą się w jeden dzień ani w jeden rok. Rastignac był wówczas tak gruntownie omotany przez barona, iż, podobnie jak książę de la Paix tyleż kochany przez króla, co przez królową hiszpańską, sądził, iż zyskał w Nucingenie szacowną ofiarę. Naśmiawszy się zrazu z człowieka, którego długi czas nie rozumiał, powziął dla niego z czasem poważny i głęboki kult, uznając w nim siłę, którą przypisywał jedynie sobie. Od pierwszych swoich kroków w Paryżu Rastignac doszedł do pogardy dla całego społeczeństwa. Od roku 1820 myślał jak baron, że istnieją jedynie pozory uczciwego człowieka, i uważał świat za gniazdo wszelkiego zepsucia, wszelkiego szelmostwa. Jeżeli przyjmował wyjątki, osądził ogół: nie wierzył w żadną cnotę, tylko w okoliczności, w których człowiek jest cnotliwy. To przeświadczenie było rzeczą jednej chwili; nabył

<sup>18</sup>*azio* (z wł.) — nadwyżka kursu papierów wartościowych powyżej ich wartości nominalnej. [przypis edytorski]

go na szczycie cmentarza Père-Lachaise w dniu, w którym odprowadził tam biednego pocziwca ojca swojej Delfiny, zmarłego jako ofiara społeczeństwa, ofiara najszczęśliwszych uczuć, opuszczonego przez córki i zięciów<sup>19</sup>. Postanowił zdrwić sobie z całego świata, paradować przed nim w kostiumie cnoty, uczciwości, pięknych manier. Ten młody panicz uzbroił się w egoizm od stóp do głów. Kiedy nasz chwyt ujrzał Nucingena odzianego w tą samą zbroję, ocenił go tak, jak w średnich wiekach na turnieju rycerz zakuty po sam czubek w stal damasceńską, siedząc na rumaku, oceniliby przeciwnika równie dobrze zakutego i na wierzchowcu równej ceny. Ale zmiękł na jakiś czas w rozkoszach Kapui. Miłość kobiety takiej jak baronowa Nucingen może wyzuć człowieka z egoizmu. Zawiodłszy się pierwszy raz w uczuciach, napotykał mechanikę birminghańską, jaką był nieboszczyk de Marsay, Delfina musiała przywiązać się bez granic do człowieka młodego i pełnego prowincjonalnych wierzeń. Czulość ta oddziaływała na Rastignaca.

Kiedy Nucingen nałożył przyjacielowi żony chomąto, które wszelki eksploatator nakłada wyzyskiwanemu, co się zdarzyło właśnie w chwili, w której obmyślał trzecią likwidację, zwierzył mu się ze swej pozycji, ukazując mu jako obowiązek przyjaźni, jako odszkodowanie rolę pomocnika w tej całej sprawie. Baron uznał za niebezpieczne wtajemniczyć swego współnika małżeńskiego w cały plan. Rastignac uwierzył w nieszczęście, baron zostawił go w mniemaniu, że ratuje firmę. Ale kiedy siatka ma tyle nitek, robią się supły. Rastignac zląkł się o majątek Delfiny; żądał niezależności baronowej, domagając się separacji majątkowej i przysięgając sobie w duchu wypłacić się jej, potrając jej mienie. Ponieważ Eugeniusz nie mówił nic o sobie, Nucingen ubłagał go, aby przyjął w razie zupełnego powodzenia dwadzieścia pięć akcji, po tysiąc franków każda, w kopalniach srebrodajnego ołowiu, które Rastignac przyjął, aby go nie obrazić! Nucingen wyuczył Rastignaca lekcji w wilię wieczoru, w którym Rastignac radził Malwinie, aby wyszła za męża. Na widok stu szczęśliwych rodzin, które żyły w Paryżu spokojne o swe mienie, Godfrydów de Beaudenord, Aldriggerów, d'Aiglemontów, etc., przeszedł Rastignaca dreszcz, niby młodego generała, który pierwszy raz ogląda armię przed bitwą. Biedna mała Izaura i Godfryd, bawiący się w miłość, czyż nie byli podobni do Acisa i Galatei pod skałą, którą gruby Polifem na nich spuścił?...

— Ta mała Bixiou — rzekł Blondet — on ma prawie talent.

— A, więc już nie *mariwoduje* — rzekł Bixiou, sycąc się swoim sukcesem i spoglądając na zaskoczonych słuchaczy. — Od dwóch miesięcy — podjął po tej przerwie — Godfryd oddawał się wszystkim upojeniom człowieka, który się żeni. Każdy jest wówczas podobny do owych ptaszków, które ścielą gniazdko na wiosnę, latają tam i z powrotem, zbierają żdźbła słomy, niosą je w dzióbku i wyścielają domostwo swoich jajek. Przyszły małżonek Izaury wynajął przy ulicy de la Planche wilię za tysiąc talarów rocznie, wygodną, przyzwoitą, ani za dużą, ani za małą. Zachodził tam co rano zajrzeć na pracujących robotników i doglądać malowania. Wprowadził tam *komfort*, jedyną dobrą rzecz, jaka jest w Anglii: kaloryfer, aby utrzymać w domu jednostajną ciepłość, starannie dobrane meble, ani zbyt błyszczące, ani zbyt wykwintne: świeże i miłe kolory, story wewnątrz i zewnątrz w wszystkich okien; srebra i powozy nowe. Kazał urządzić stajnię, wozownię, remizę, gdzie Toby, Joby, Paddy krzątał się i uwijał jak fryga, widocznie bardzo ucieszony wiadomością, że w domu będą kobiety i *lady*! Ta namiętność człowieka, który zakłada dom, wybiera zegary, przychodzi do swej oblubienicy z kieszeniami pełnymi próbek, radzi się jej o urządzenie sypialni, który chodzi, biega, goni, kiedy chodzi, biega i goni ożywiony miłością, to jedna z rzeczy, które najbardziej cieszą uczciwe serce, a zwłaszcza dostawców. Że zaś nic w świecie nie budzi większej sympatii niż małżeństwo dwudziestosiemioletniego przystojnego młodziana z uroczą dwudziestolatką, która ślicznie tańczy, Godfryd, nie umiejąc sobie dać rady ze swym podarkiem ślubnym, zaprosił na śniadanie Rastignaca i panią de Nucingen, aby się ich poradzić w tej doniosłej sprawie. Wpadł też na doskonały pomysł, aby zaprosić swego kuzyna d'Aiglemonta z żoną, zarówno jak i panią de Sérisy. Światowe panie lubią od czasu do czasu zapuszczać się na śniadanie do kawalerskiego mieszkanka.

— Jak studenci wymykający się *za szkołę* — rzekł Blondet.

<sup>19</sup>na szczycie cmentarza Père-Lachaise (...) opuszczonego przez córki i zięciów — [por.] Ojciec Goriot. [przypis tłumacza]

— Mieli wszyscy iść na ulicę de la Planche zobaczyć gniazdko przyszłego małżeństwa — podjął Bixiou. — Kobiety są na te wyprawy tak łase jak ludożerca na świeże mięso: odświeżają swoją terażniejszość owym młodym szczęściem, które jeszcze nie zwiędło w przesycie. Podano śniadanie w saloniku, który na ten pogrzeb kawalerskiego życia wystrojono jak konia przy ślubnej karecie. Śniadanie obfitowało w owe smakowite kąski, które kobiety lubią jeść, chrupać, smakować w południe, w którym to czasie mają wściekły apetyt, mimo iż nie chcą się do tego przyznać, wydaje się im bowiem, że się kompromitują mówiąc: „Głodna jestem!” — „Czemu sam?” spytał Godfryd wchodzącego Rastignaka. „Pani de Nucingen jest smutna, opowiem ci to potem” odparł Rastignac, który wyglądał na człowieka bardzo zmartwionego. „Sprzeczką?” wykrzyknął Godfryd. „Nie” rzekł Rastignac. O czwartej, skoro kobiety odfrunęły do Lasku Bulońskiego, Rastignac został w salonie i patrzył melancholijnie przez okno, jak Toby, Joby, Paddy, z ramionami skrzyżowanymi jak Napoleon, stał mężnie przed konikiem zaprzężonym do kabrioletu. Nie mógł go trzymać na wodzy inaczej, jak tylko swoim cieniutkim głosem, ale koń bał się malca. „No i co, co tobie jest, mój drogi, rzekł Godfryd, jesteś ponury, niespokojny, wesołość twoja nie jest szczerą. To kradzione szczęście tak cię męczy! To w istocie bardzo przykre nie być poślubionym wobec Boga i ludzi z kobietą, którą się kocha”. „Czy masz odwagę, mój drogi, wysłuchać tego co ci powiem, i czy potrafisz ocenić, jak bardzo trzeba być komuś oddanym, aby popełnić tego rodzaju niedyskrecję?” rzekł Rastignac owym tonem, który podobny jest do uderzenia biczem. „Co takiego?” rzekł Godfryd blednąc. „Smuciła mnie twoja radość i nie mam serca, widząc wszystkie te przygotowania, to szczęście w samym kwiecie, zachować podobną tajemnicę”. „Mówże w trzech słowach”. „Przysięgnij mi na honor, że będziesz o tym milczał jak grób”. „Jak grób”. „Że gdyby ktoś z twoich bliskich był zainteresowany w tej tajemnicy, nie dowie się jej”. „Nie dowie”. „A więc, Nucingen wyjechał dziś w nocy do Brukseli, musi ogłosić bankructwo, jeżeli nie uda mu się zlikwidować. Delfina zażądała dziś rano w sądzie separacji majątkowej. Możesz jeszcze ocalić swój majątek”. „Jak?” rzekł Godfryd, czując, że mu krew ścina się w żyłach. „Napisz po prostu do barona de Nucingen list antydatowany na dwa tygodnie wstecz, w którym dajesz mu zlecenie, aby kupił za cały twój kapitał akcji (i wymienił mu towarzystwo akcyjne Claparona). Masz dwa tygodnie, miesiąc, trzy miesiące może na to, aby je sprzedać powyżej obecnej ceny, pójdą jeszcze w górę”. „Ale d'Aiglemont, który był z nami na śniadaniu, d'Aiglemont ma u Nucingena milion!” — „Słuchaj, ja nie wiem, czy znajdzie się dość akcji, aby go pokryć, przy tym ja nie jestem jego przyjacielem, nie mogę zdradzać tajemnic Nucingena, nie powinienem mówić mu o tym. Jeżeli powiesz słowo, odpowiadasz mi za następstwa”. Godfryd przetrwał dziesięć minut w zupełnym bezwładzie. „Godzisz się czy nie?” spytał bezlitosny Rastignac. Godfryd wziął pióro i atrament, napisał i podpisał list, jaki mu podyktował Rastignac. „Biedny d'Aiglemont!” wykrzyknął. „Každy dla siebie” rzekł Rastignac. „Jeden załatwiony!” dodał w myśli, opuszczając pokój Godfryda. Podczas gdy Rastignac manewrował w Paryżu, oto jaki widok przedstawiała giełda. Mam przyjaciela z prowincji, dudka, który mnie pytał, przechodząc koło Giełdy między czwartą a piątą, poco to zbiegowisko rozmawiających, którzy chodzą tam i z powrotem, co oni sobie mogą mówić i po co się przechadzają po nieodwołalnym ustaleniu kursu papierów publicznych. — Mój przyjacielu, rzekłem, najedli się, teraz trawią; w czasie trawienia robią plotki o sąsiadach, bez tego nie byłoby w handlu bezpieczeństwa w Paryżu. Tam się robią interesy i jest na przykład człowiek, taki Palma dajmy na to, którego powaga podobna jest powadze Sinarda w Akademii. Powiada, że transakcja jest dobra, i transakcja się robi!

— Co za człowiek, panowie — rzekł Blondet — ten Żyd, który posiada wykształcenie nieuniwersyteckie, ale uniwersalne. U niego uniwersalność nie wyklucza głębi; co wie, to wie do gruntu; ma intuicję, geniusz interesów; to wielki referendarz hien, które władają giełdą paryską i które nie zrobią interesu, póki Palma go nie zbada. Jest poważny, słucha, waży, namyśla się i mówi wreszcie interesowanemu, który patrzy ze zdumieniem na tę powagę wypchanego ptaka: „To mi się nie podoba”. Co mi się wydaje nadzwyczajne, że on był przez dziesięć lat współnikiem Werbrusta i że nie było nigdy między nimi nieporozumień.

— To się zdarza między ludźmi bardzo silnymi albo bardzo słabymi; wszyscy inni kłócą się i prędzej czy później rozstają się jak wrogowie.

— Domyślcie się — rzekł Bixiou — że Nucingen puścił mądrze i zręcznie pod kolumny giełdy mały granacik, który wybuchnął koło czwartej. „Wiesz pan ważną nowinę, rzekł du Tillet do Werbrusta pociągnawszy go w kąt, Nucingen jest w Brukseli, żona jego zażądała sądownie separacji majątkowej”. „Czy ty maczasz palce w likwidacji?” spytał Werbrust z uśmiechem. „Bez głupstw, Werbrust, rzekł du Tillet, ty znasz ludzi, którzy mają jego obligi, posłuchaj mnie, jest dla nas interes do zrobienia. Akcje naszego nowego towarzystwa zyskały dwadzieścia od sta, podniosą się o dwadzieścia pięć z końcem kwartału, wiesz, czemu dają wspaniałą dywidendę”. „Filucie, rzekł Werbrust, jedź, jedź dalej, ty jesteś diabeł z długimi i ostrymi pazurami i zatapiasz je w maselku”. „Ale pozwól mi mówić, inaczej nie będziemy mieli czasu działać. Wpadłem na pewną myśl, dowiadując się o tej nowinie; na własne oczy widziałem panią de Nucingeu we łzach, drży o swój majątek”. „Biedna mała!” rzekł ironicznie Werbrust. „No i co?” podjął ten dawny Żyd alzacki, spoglądając na du Tilleta, który zamilkł. „To, że jest u mnie tysiąc akcji po tysiąc franków, które Nucingen mi powierzył do ulokowania, rozumiesz?” — „Wyborne!” — „Kupmy z dziesięcioma, z dwudziestoma procentami opustu papierów firmy Nucingen za milion, zarobimy ładną premię na tym milionie, bo będziemy wierzycielami i dłużnikami, będzie istniała *kompensacja*! Ale działajmy zręcznie, wierzyciele będą mogli myśleć, że my operujemy w interesie Nucingena”. Werbrust zrozumiał wówczas sztuczkę, która się nastęrczała i ścisnął rękę du Tilleta ze spojrzeniem kobiety, która szyje buty sąsiadce. „No i co, wicie nowinę, rzekł Marcin Falleix; bank Nucingena zawiesza wypłaty?” — „Ba! odparł Werbrust, nie rozgłaszaj pan tego, pozwól ludziom, którzy mają jego walory, załatwić swoje interesy”. „Wicie przyczynę katastrofy?” wtrącił nadchodząc Claparon. „Ty sam nie wiesz nic, nie ma żadnej katastrofy, wszystko będzie w całości pokryte. Nucingen podejmie interesy i znajdzie u mnie kapitałów, ile zechce. Znam przyczynę zawieszenia wypłat: wpakował całą forszę w Meksyk, który mu daje metale, armaty hiszpańskie tak głupio odlane, że znajduje się w nich złoto, dzwony, srebro kościelne, wszystkie szczątki monarchii hiszpańskiej w Indiach. Wpłynięcie tych walorów opóźnia się. Kochany baron jest w kłopotcie, to wszystko”. „To prawda, rzekł Werbrust, ja biorę jego akcepty z dwudziestoma procentami eskontu”.

Nowina obiegła wówczas z szybkością ognia po stogu słomy. Mówiono najsprzeczniejsze rzeczy. Ale było takie zaufanie do Nucingena, wciąż z przyczyny jego dwóch poprzednich likwidacji, że wszyscy trzymali akcepty Nucingena. „Trzeba, żeby nam Palma pomógł!” rzekł Werbrust. Palma był wyrocznią Kellerów nabitych akceptami Nucingena. Słowo alarmu z jego ust wystarczyło. Werbrust wymógł na Palmie, że zadzwoni na trwozę. Nazajutrz alarm na giełdzie. Kellerowie za radą Palmy oddali swoje walory ze stratą dziesięciu od sta i dali tym ton giełdzie, wiedziano, że to spryciarze. Wówczas Taillefer pozbył się trzystu tysięcy franków z dwudziestoma od sta, Marcin Falleix wypuł dwieście tysięcy z piętnastoma od sta. Gigonnet przejrzał sztuczkę! Podsyłał panikę, aby skupować walory Nucingena i zarobił jakieś dwa albo trzy od sta, ustępując je Werbrustowi. Spozrzega w kącie Matifata, który miał trzysta tysięcy franków u Nucingena. Drogista, błądliwy i wystraszony, zadrżał, widząc straszliwego Gigonneta, lichwiarza jego dawnej dzielnicy, zbliżającego się, aby mu rozpruć brzuch. „Źle idzie, pachnie bankructwem. Nucingen wchodzi w targi! Ale to pana nie tyczy, panie Matifat, pan się wycofał z interesów”. „Hm, właśnie, że się pan myli, panie Gigonnet, chwyciło mnie na trzysta tysięcy franków, którymi chciałem operować na rencie hiszpańskiej”. „Uratował się pan, renta hiszpańska byłaby panu zjadła wszystko, gdy ja panu dam coś za pańską sumę u Nucingena, na przykład tak pięćdziesiąt od sta”. „Wolę raczej doczekać likwidacji, odparł Matifat, nigdy żaden bankier nie dał mniej niż pięćdziesiąt od sta. Ba! gdyby chodziło tylko o dziesięć procent straty” rzekł ex-drogista. „No zatem, chce pan na pięćnaście?” rzekł Gigonnet. „Coś panu bardzo pilno, jak widzę” rzekł Matifat. „Do widzenia” rzekł Gigonnet. „Chce pan na dwanaście?” — „Niech będzie” rzekł Gigonnet. W ciągu wieczora du Tillet odkupił za dwa miliony i pokrył je u Nucingena, na rachunek tych trzech przygodnych współników, którzy nazajutrz podjęli swoją premię. Stara piękniejsia, baronowa d'Aldrigger, była przy śniadaniu z córkami i Godfrydem, kiedy Rastignac przyszedł

z dyplomatyczną miną, aby skierować rozmowę na kryzys finansowy. Baron Nucingen ma (mówił) serdeczną przyjaźń dla Aldriggerów, pomyślał o tym, aby w razie nieszczęścia pokryć konto baronowej swymi najlepszymi akcjami, srebrodajnym ołowiem, ale dla pewności baronowa powinna go prosić, aby w ten sposób rozporządził jej kapitałem. „Biedny Nucingen, rzekła baronowa, co mu się trafiło?” — „Jest w Belgii, żona jego żąda separacji majątkowej, ale on pojechał szukać pomocy u bankierów”. „Mój Boże, to mi przypomina mego biednego męża! Drogi panie Rastignac, jak to panu musi być przykro, pan był taki przywiązany do tego domu”. „Byłe obcy byli pokryci, przyjaciele porachują się z nim później, on się z tego wyłabuda, to sprytny człowiek”. „Uczciwy człowiek zwłaszcza” rzekła baronowa. Po miesiącu likwidacja pasywów Nucingena była dokonana bez innych procedurów prócz listów, w których każdy prosił o użycie jego pieniędzy na kupno wskazanych walorów, i bez innych formalności ze strony banków jak tylko zwrot obligów Nucingena za akcje, które zaczynały iść w górę. Podczas gdy du Tillet, Werbrust, Claparon, Gigonnet i kilku innych, którzy się mieli za spryciarzy, sprowadzali z zagranicy z jednym procentem premii obligi Nucingena, bo zarabiali jeszcze na wymienieniu ich na akcje idące w górę, hałas na rynku paryskim był tym większy, że nikt nie potrzebował się niczego obawiać. Gadano o Nucingenie, rozważano, sądzono, znajdowano sposób, aby go spotwarzać! Jego zbytek, jego przedsiębiorstwa! Kiedy człowiek jedzie tak ostro, wywraca się, etc. W chwili największego *tutti* ten i ów zdziwił się bardzo, otrzymując listy z Genewy, z Bazylei, z Mediolanu, z Neapolu, z Genui, z Marsylii, z Londynu, gdzie korespondenci donosili mu nie bez zdziwienia, że im dają jeden procent premii za obligi Nucingena, o którego bankructwie im doniesiono. „Dzieje się coś” mówili starzy giełdjarze. Trybunał uchwalił separację majątkową małżeństwa Nucingenów. Kwestia skomplikowała się jeszcze bardziej: dzienniki oznajmiły powrót barona de Nucingen, który był w Belgii, aby się porozumieć ze sławnym belgijskim przemysłowcem co do eksploatacji dawnych kopalni węgla, w tej chwili zaniedbanych, w lasach Bossut. Baron pojawił się na giełdzie, nawet nie trudząc się zaprzeczyć oszczerczym pogłoskom, jakie krążyły o jego banku, nie raczył prostować w dziennikach, kupił za dwa miliony wspaniałą posiadłość pod samym Paryżem. W sześć tygodni później dziennik z Bordeaux oznajmił przybycie do portu dwóch statków naładowanych, na rachunek firmy Nucingen, metalami, których wartość wynosiła siedem milionów. Palma, Werbrust i du Tillet zrozumieli sztuczkę, ale tylko oni jedni. Fryce ci przemysłowcy inscenizację tego finansowego kawału, przejrzeni, że był przygotowany od jedenastu miesięcy, i obwołali Nucingena największym finansistą Europy. Rastignac nie rozumiał nic, ale zarobił na tym czterysta tysięcy franków, które Nucingen pozwolił mu ostrzyć z owieczek paryskich; wyposażył nimi swoje siostry. D'Aiglemont, ostrzeżony przez swego kuzyna Beaudenord, przyszedł błagać Rastignaca, aby przyjął dziesięć procent od jego miliona, jeżeli uzyska obrócenie tegoż miliona na akcje pewnego kanału, który się jeszcze nie zaczął budować, bo Nucingen tak wykierował rząd w tej sprawie, że ci, którzy mają koncesję na kanał, mają interes w tym, aby go nie kończyć. Karol Grandet błagał kochankę Delfiny, aby mu się wystarał o zamianę jego pieniędzy na akcje. Słowem, Rastignac grał przez dziesięć dni rolę Lawa błaganego przez najpiękniejsze księżne, aby im dał akcje, i dziś hultaj ma czterdzieści tysięcy franków renty, których początek sięga akcji srebrodajnego ołowiu.

— Skoro wszyscy zarobili, któż stracił? — spytał Finot.

— Konkluzja — podjął Bixiou. — Znęćeni pseudo-dywidendą, którą otrzymywali przez kilka miesięcy po wymianie swoich pieniędzy na akcje, margrabia d'Aiglemont i Beaudenord zachowali je (mówię o nich za wszystkich innych), mieli o trzy procent więcej od swoich kapitałów, śpiewali pochwały Nucingena i bronili go w tej samej chwili, gdy go podejrzewano o zawieszenie wypłat. Godfryd zaślubił drogą Izaurę i otrzymał za sto tysięcy franków akcji w kopalniach. Z okazji tego małżeństwa Nucingenowie wydali bal, którego wspaniałość przeszła wszelkie pojęcie. Delfina ofiarowała pannie młodej śliczny rubinowy garnitur. Izaura tańczyła już nie jak młoda dziewczyna, ale jak szczęśliwa kobieta. Rozkoszna baronowa była bardziej niż kiedykolwiek pasterką alpejską. Malwina, kobieta z *Czy widziałeś w Barcelonie?* usłyszała na tym balu z ust du Tilleta suchą radę, aby została panią Desroches. Desroches, zagrzewany przez Nucingena, przez Rastignaka, próbował zacząć od kwestii interesów, ale na pierwsze słowa o posagu w akcjach kopalni, zerwał i zwrócił się ku Matifatom. Przy ulicy du Cherche-Midi adwokat zastał przekłętę

akcje kanałów, które Gigonnet wpakował Matifatowi, zamiast mu dać pieniądze. Czy widzisz minę Desroches'a, gdy spotkał dwa razy grabki Nucingena na dwóch posagach, które wziął na cel? Niedługo trzeba było czekać katastrofy. Bank Claparona rzucał się zbył wiele interesów, nastąpiło zatkanie, przestał płacić procenty i dawać dywidendy, mimo że operacje jego były doskonałe. Nieszczęście to skombinowało się z wypadkami roku 1827. W roku 1829 Claparon był już zbyt powszechnie znany jako słomiany człowiek tych dwóch kolosów i runął ze swego piedestału na ziemię. Z tysiąc dwustu pięćdziesięciu franków akcje spadły na czterysta franków, mimo że warte były naprawdę sześćset. Nucingen, który znał ich realną wartość, odkupił je. Kochana baronowa d'Aldrigger sprzedała swoje akcje w kopalniach, które nie przynosiły nic, a Godfryd sprzedał akcje żony dla tej samej przyczyny. Tak samo jak baronowa, i Beaudenord zmienił swoje akcje w kopalniach na akcje spółki Claparona. Długi zmusiły ich do sprzedaży w chwili najniższego kursu. Z tego, co dla nich przedstawiało siedemset tysięcy franków uzyskali dwieście trzydzieści tysięcy franków. Pocałowali stół i resztę umieścili roztropnie w trzech od sta po 75. Godfryd, tak szczęśliwy jako kawaler, bez trosk, którego życie samo niosło, znalazł się mając na karku kobietkę głupią jak gęś, niezdolną znieść niedostatku (bo po upływie pół roku spostrzegł się na *zgaszeniu* ukochanej istoty), plus teściowa bez grosza, marząca o pięknych toaletach. Dwie rodziny skupiły się, aby móc istnieć. Godfryd musiał puścić w ruch wszystkie swoje wystyglę protekcje, aby uzyskać miejsce na tysiąc talarów w ministerium finansów. Przyjaciele?... w kąpielach. Krewni zdziwieni, pełni przyrzeczeń: *Jak to, mój drogi, ależ liczą na mnie! Biedny chłopiec!* — i zapominający o nim zupełnie w kwadrans później. Beaudenord otrzymał miejsce dzięki wpływom Nucingena i Vandenessa. Ci ludzie tak szanowni i tak nieszczęśliwi mieszkają dziś przy ulicy Mont-Thabor na trzecim pięterku nad antresolą. Wnuczka Adolphusów, Malwina, nie ma nic, daje lekcje fortepianu, aby nie być ciężarem szwagrowi. Czarna, duża, sucha, chuda, podobna jest do mumii, która się wyrwała zza gablotki i biega pieszo po Paryżu. W r. 1830 Beaudenord stracił posiadłość, a żona dała mu czwarte dziecko. Ośmioro państwa i dwoje służby (Wirth i jego żona)! Dochód: osiem tysięcy franków renty. Kopalnie dają dziś dywidendy tak znaczne, że jedna tysiącfrankowa akcja warta jest tysiąc franków renty. Rastignac i pani de Nucingen kupili akcje sprzedane przez Godfryda i baronową. Rewolucja lipcowa zrobiła Nucingena parem Francji i wielkim oficerem Legii Honorowej. Mimo że już nie likwidował po roku 1830, ma, jak powiadają, szesnaście do osiemnastu milionów majątku. Pewien skutku *edyktów lipcowych*, sprzedał wszystkie swoje papiery i odkupił je śmiało, kiedy trzyprocentowa renta była po 45; wmówił na Dworze, że to było przez poświęcenie. W owym to czasie poślknął do spółki z du Tilletem, trzy miliony tego hultaja Filipa Bridau<sup>20</sup>! Niedawno przejeżdżając ulicą de Rivoli do Lasku Bulońskiego, nasz baron ujrzał pod arkadami baronową d'Aldrigger. Biedna stara miała zieloną kapotkę podbitą różowym, sukienkę w kwiaty, mantylkę, słowem była zawsze i bardziej niż kiedykolwiek pasterką alpejską, tak samo bowiem nie zrozumiała przyczyn swego nieszczęścia jak przyczyn swego dostatku. Wspierała się na biednej Malwinie, wzorze heroicznego poświęcenia; robiło wrażenie, że to Malwina jest starą matką, gdy baronowa wyglądała na młodą panienkę, a Wirth szedł za nimi z parasolem. *Odo lucie*, rzekł baron do pana Cointet, ministra, z którym jechał na spacer, *gdórych niebodopna mi pyło zpogadzidź. Purza zasad minęła, fróćdzie miejdzde demu pietnemu Potenortowi.* Beaudenord wrócił do finansów dzięki staraniom Nucingena, którego Aldriggerowie sławią wciąż jako bohatera przyjaźni, bo zaprasza zawsze pasterkę alpejską i jej córki na swoje bale. Nie sposób jest komukolwiek w świecie dowieść, jak ten człowiek chciał trzy razy i bez włamania okraść publiczność i jak ją wzbogacił mimo swojej woli. Nikt nie ma mu nic do zarzucenia. Kto by powiedział, że bank bywa czasem mordownią, popełniłby najstraszliwsze oszczerstwo. Jeżeli akcje spadają i idą w górę, jeżeli wartość papierów rośnie i maleje, ten przyływ i odpływ jest wynikiem naturalnego ruchu atmosferycznego, w związku z działaniem księżycy, a winę ponosi wielki Arago, że nie dał nam żadnej naukowej teorii dla tego doniosłego zjawiska. Wynika z tego jedynie wielka prawda finansowa, której nie spotkałem nigdzie wypisanej...

— Jaka?

— Dłużnik jest silniejszy od wierzyciela.

<sup>20</sup>poślknął do spółki z du Tilletem (...) Bridau — [por.] *Kawalerskie gospodarstwo*. [przypis tłumacza]

— Och! — rzekł Blondet — w tym, co mówiliśmy przed chwilą, ja widzę parafrazę zdania Monteskiusza, którym streścił *Ducha Praw*.

— Co za zdanie? — rzekł Finot.

— *Prawa to są sieci pajęczne, przez które przechodzą wielkie muchy, a w których zostają małe.*

— Dokąd tym zmierzasz? — rzekł Finot do Blondeta.

— Do rządu absolutnego, jedyne go który może powściągnąć zamachy inteligencji na prawo! Tak, samowola chroni ludy, przychodząc w pomoc sprawiedliwości, bo prawo łaski nie ma odwrotnej strony; król, który może ułaskawić oszukańczego bankiera, nie zwraca nic obłuskanej ofierze. Legalność zabija nowoczesne społeczeństwo.

— Wytłumacz to wyborcom! — rzekł Bixiou.

— Jest ktoś, kto się tego podjął.

— Kto?

— Czas. Jak powiedział biskup z Leon, jeżeli wolność jest dawna, królestwo jest wieczna: wszelki naród zdrowy duchem, wróci do niej pod taką czy inną formą.

— Oho, był tu ktoś obok — rzekł Finot, słysząc, jak wychodzimy.

— Zawsze jest ktoś obok — odparł Bixiou, który musiał być zalany.

Paryż, listopad 1837.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-komedia-ludzka-bank-nucingena>

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, *Komedia ludzka*, Bank Nucingena, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Przekłady Boy'a, t. 88, wyd. Drukarnia Krajowa, Warszawa 1926

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Maja Kurpiewska, Marta Niedziałkowska, Paulina Chormańska.

Okładka na podstawie: Jason Rogers@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0058-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).